

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 18. XI. 1951 r.

Nr. 46 (328)

TADEUSZ KUBIAK

PIOTR CHMURA

O MATCE POLSKIEJ

Zarze, zarzycie, trzy siostrzycy.
Szła matka po Wiśle, zbierając pianę z fali.
Napotkał ją rybak. — Dokąd idziesz, matko?
Idę, szukam swych synaczków.

Matko, drżysz jak liść.
Toć noc pogodna i ciepła.

Drzę jak liść, ach, żalem.
Przejdź mi nieba i piekła.
Szukać mi wszędzie.
Iść dalej.

Patrz, matko, wschodzi gwiazda.
Gdzie pogubiła z dłoni
rodzone pisklęta?

Nie uwilał gniazda
pod złotą strzechą.
Smutek zajął w oczy moim pociechom,
śmierć zajął w serce moim chłopcom.

Gdy o północy zarzucałem sieci,
w roku czterdziestym trzecim,
woda ciał wyrzuciła na brzeg.

Gdzie Wisłę gwiazda mierzy,
wśród drzew pod Sandomierzem
partyzant, syn mój leży,
To był jeden z trzech.

Patrz, matko, gwiazda zgasa
i fala ucicha.

Minęła taka wojna.
A zdrada knuła po miastach,
wszech, zagajnikach.

Gdy szedłem drogą w czterdziestym siódmym,
gdy niosłem na grzbiecie kosz ryb
gdy ludzie zamykali domy,
siadali do wieczerzy,
w marcowym blasku u szczy —
wróg przycałował z węglem
do syna twojego mierzył.

Mogło to być pod Baligrodem,
mogło to być na ziemi gdzieś indziej —
Wiedzialem, śmierć jeszcze niedługo przyjdzie.
Przeklinałem dłoń zadającą śmierć.

Patrz, matko, słońce wschodzi
i ptak się budzi w ogrodzie.
Ciągnąć, ej, ciągnąć sieć.

Trzeci, gdy był maleńki
nie wiedział co to nienawiść.
Trzeciemu, gdy miał siłę młodzieńca
znów wróg do oczu skozył.
Wysłała zemsta kulacka
z kościelnych wsi.
Przyszła na łakę biedniacką,
w pochmurne dni.

Synkowi w oczy
widłami zaświeciła,
sięgnęła po serce,
w serce uderzyła.
Najmłodszemu.

Patrz, matko, słońce wysoko,
to nieba radosne oko.
Zal swój opowiadał wszystkim,
kolysz nim fale, kolyski.

Choć srodze serce i ciało,
zły los doświadczył,
nie na matkę zbolala,
rybaku, patrzysz.

Nie żalem białe kolyski
kolysać będę.
Wyśpiemam gniew pędem niskim,
co będą dębem.

Rosnąc na tej ziemi, niech wiedzą,
jak było ciężko —
zgnieść podłość, zdradę i przesadę.
I lże niemięską.

Niech wiedzą jak trudno było
i jak boleśnie,
z tej ziemi wydobyć miłość
i ludzkie szczęście.

Patrz, matko, słońce się skłania.
Godzin nie wiele do rana.
Sieci mej połów. Sen ptakom.
Bądź zdrowa.

Bądź zdrow, rybaku.

Złota luna w oczy biła.
Matka oczy osłoniła.
Na zielonej fali stawisz
wzniosła wzrok. W serca nam patrzy.

TADEUSZ KUBIAK

JESIENNA OFENSywa

GAZETY codzienne i masowe pisma wiejskie przynoszą wciąż nowe komunikaty z akcji skupu zboża i kartofli, spłacania należności finansowych chłopów, oraz z kontraktacji trzody chlewnej. Liczby i fakty przeplatają się nawzajem. Są to liczby, gromadzone i sumowane z całego kraju. Są to fakty, stanowiące ułamek tego wszystkiego, co ożywia i porusza całe nasze chłopstwo. Biblioteki nie starczyłyby na pomieszczenie zapisu każdej gromady, każdej rodziny chłopskiej. Ale kiedy zestawiamy liczby i reprezentatywne szkice portretowe ludzi tej wielkiej akcji oddania nam się w pełni jej bieg, treść i charakter.

Oto przykładowo dwa portrety. W gromadzie Wysokieńce (gm. Gluchów pow. Skierniewice) Wacław Wilczek wykonał planowy skup zboża w 200 proc., podatek zapłacił przed terminem, a ziemniaków choć mu nie obrodziły, sprzedał 2 q ponad plan. Kto czytał jego oświadczenie w „Zielonym Sztandarze” pośpieszyby zapewne w tej chwili dopowiedzieć, że dwóch synów Wilczka pracuje w przemyśle, dwóch uczy się w szkole, piątą będzie gospodarzył na ojcowisku 5 ha gospodarstwie. Słusznie, to trzeba podkreślić. Z Wysokieńce wyszło do przemysłu i szkół 160 osób.

Drugi portret. W gromadzie Gąski (gm. Komorniki, pow. Grójec) Józef Trzmiel, działakowicz, sprzedał ponad plan, zamiast 137 kg. — 300 kg. zboża, 200 kg. kartofli, 4 tuczniki i podatek wpłacił co do grosza. Trzmiela jeden syn pracuje na kole, drugi został traktorystą, a teraz w wojsku dostał dyplom szofera-technika.

Jakież to wybrałszy przykłady chłopów obywateli? Niejednemu z czytelników powiedzieliby: najłatwiejsze. I Trzmiel i Wilczek spłacają bezpośrednio dług wdzięczności wobec Państwa Ludowego. Oczywiście i tak też oni rozumieją swój obowiązek. Ale rozumieją go również szerzej. Właśnie osobiste doświadczenie tym wyraźniej pozwoliło im zrozumieć, że nie są jednostkowo uprzywilejowani. Ich przywilej obejmuje nawet nie tysiące, obejmuje okrągłe miliony ludzi wiejskich. Wilczek w gazecie przypomniał cztery wielkie prawdy. Ze wyzwolił naszą ojczyznę i nasz pracujący lud Związek Radziecki i on jest ostoją naszego rozwoju i naszej niepodległości. Ze reforma rolna dała milionom chłopów nową i mocną podstawę do życia. Ze przemysł i szkoły już wchłonęły miliony ludzi ze wsi. Ze w tych warunkach rodzinie chłopskiej nie grozi dzielenie gospodarstwa, ziemi nie będzie rolnikowi ubywać, przeciwnie, będzie przybyszało na jednostkę pracującą.

Przed wojną, przy znacznie większej niż obecnie ludności, zatrudnienie pracowników najemnych poza rolnictwem wynosiło 2,733.000 osób. W roku bieżącym wynosi ono 5.200.000. O kim ze mówią te nowe 2,5 miliona pracujących w miastach? O ludziach ze wsi. O braciach i siostrach, synach i córkach, a nieraz o ojcach, którzy wyszli do miast, którzy z miastami są związani pracą pozarolniczą i nauką. Wojna kosiła wieś i miasto. Ale nikt nie zaprzeczy jak bardzo wzmocniła miasto. Dlatego nawet te przedwojenne liczby 2.700.000 ludności trzeba było w pierwszych latach powojennych bardzo dopełnić.

Warto czasami odwołać się i do suchej statystyki.

Przy czterdziestu tysiącach wsi w Polsce wypada, że po wojnie przeciętnie z każdej gromady do prac pozarolniczych i po wiedzę wyszło po 80 osób. A gdybyśmy jeszcze dodali niemały procent dzieci i innych członków rodziny, jaki powiększył w miastach liczbę tych, którzy tam znaleźli pracę? Oczywiście, życie nie rozwijało się według przeciwnych norm. Są powiaty, gminy i wieś gdzie ten integralny związek z miastem, szkołami i klasą robotniczą odczuwa się mocno w każdej rodzinie, są powiaty i gminy, są wieś, gdzie proces ten ledwie się zaczął. Ale te wieś stanowią znikoma część i one również wiedzą, że losem ich nie głucha prowincja, a otwarta droga na wielki plac budowy i produkcji socjalistycznego przemysłu.

Od r. 1949 do lata 1951 r. ludność pracująca poza rolnictwem powiększyła się o półtora miliona. Ten wielki skok w niepewne... dwa lata wieś musiała odczuć jako proces przemian. W bilansie tych przemian łatwiej oczywiście było zaczynać od podliczenia zysków. O nich właśnie wspominał Wilczek z Wysokieńce. Tak olbrzymi zaciąg nowych rąk do pracy nad budową nowego przemysłu i do modernizowanych hut, kopalń i fabryk wyraźnie uka-



zał chłopstwu perspektywę jutra. Jest „wielki plac budowy” i rozwija się gigantyczna praca nad uprzemysłowieniem kraju. W tej perspektywie nie trudno chłopu wyrozumować możliwości, jakie go najbardziej obchodzą.

Będzie wielki przemysł, to będzie stała rezerwa odpływu zbędnych rąk ze wsi. Będzie wielki przemysł, to będzie stała potrzeba kształcenia kadr zawodowych. Będzie wielki przemysł, to będzie nowa technika w rolnictwie, nowe środki i sposoby produkcji. Będzie wielki przemysł, to będzie olbrzymi rynek zbytu dla chłopskiej produkcji. Będzie wielki przemysł, to będzie chłop — rolnik miał do syta ziemi, czy jeszcze na indywidualnym gospodarstwie, czy już w zespółowym. Będzie wielki przemysł, to będzie różnorodność towarów aż do pełnej obfitości. Będzie wielki przemysł to będzie kultura i nie tylko przez braci, którzy poszli do fabryk, ale wprost wieś swoim wyglądem, urządzeniem i trybem życia upodobni się i zjednoczy z miastem, z którego klasa robotnicza kieruje rozwojem całego narodu.

Czy więc przykłady Wilczka i Trzmiela należą do wybranych i wyjątkowych? Wprost przeciwnie. Wyjściłszy je spośród milionów chłopów, którzy dostali nową ziemię, jaką w Polsce Ludowej nie będzie się kurczyć. Wyjściłszy je spośród setek tysięcy rodzin, których dzieci kształcą się w średnich i wyższych szkołach, spośród milionów rodzin, z których ktoś pracuje poza rolnictwem.

Ale jest druga strona bilansu: strona zobowiązań, której nie oderwiesz od zysków. Oto taki podstawowy zysk i zobowiązanie zarazem: rynek! Dla połowy chłopstwa przed wojną rynek zbytu był nieosiągalnym marzeniem. Odgradywał je od rynku: 1) jego szczupłość, 2) monopole i spekulacja w handlu, 3) własna mała towarowość, powodowana prymitywną techniką, brakiem kredytów, środków, narzędzi itd.

Reforma rolna nowym milionom dała ziemię, a wszystkich chłopów uwolniła po 1) od konkurenta — obywatela, panującego w Polsce kapitalistycznej na rynku zbytu, po 2) w toku dalszych przemian rewolucyjnych uwolnione zostało mało i średniorolne chłopstwo od spekulacyjnych cykli i spychania z rynku przez kulaków i sklepikarzy, po 3) wzmocnione w wydajność produkcyjną całym systemem pomocy ze strony państwa ludowego (w kredytach, nawozach, maszynach, spółdzielczości, umowach kontraktacyjnych, pomocy agrotechnicznej itd.).

A teraz doliczmy duża wielkie procesy, postępujące gwałtownie i burzliwie, tak, jak jest to tylko możliwe w rewolucji socjalistycznej.

Z jednej strony na wsi, która ma otwarty rynek, w której centralna figura — średniak ma co wynieść na rynek — rozwija się niepostrzeżenie proces emigracji do miast, do pracy i do szkół. Wywołuje go państwo ludowe, klasa robotnicza, zakładająca fundamenty Polski przemysłowej, Polski prawdziwie niezawisłej i prawdziwie zmierzającej do dobrobytu narodowego.

Ten proces zmniejsza ludność rolniczą, powiększa zatem towarowość gospodarstw. Zegnaj — wypowiedziane do brata, czy siostry, do syna czy córki, którzy poszli do fabryk wyraża po wojnie nowy stan ducha. Tobie, bracie, gotuję się los, godny pozazdrośczenia, a mnie jeszcze zmierzającej do dobrobytu narodowego.

A z drugiej strony — w miastach, w ośrodkach przemysłowej pracy, od pierwszych dni wyzwolenia do dnia dzisiejszego przybyło 3 miliony nowych sił pracowniczych. Część z tych przybyszów stanowi już przodująca część klasy robotniczej. Już odbyła drogę taką, jak sławny górnik, Waltoz. Część z ostatniego rogu wymaga jeszcze szkolenia, pomocy i wychowania, jeszcze nie podobała w pełni tempu i planowi dru-

W NUMERZE:

L. GOMOLICKI — Zagadnienie języka literackiego. E. MARTUSZEWSKI — W pracy tłumacza.
J. WIATR — Młodzież wiejska. A. J. MARKIEWICZ — B. SZMIDT — Pamiętniki robotnicze.
S. PIĘTAK — Lekcja. S. SIEKIERSKI — Uwagi o krytyce.
H. BEREZA — Opowiadania wiejskie. D. BRZOZOWSKA — Pamiętnik służącej.
J. KOPROWSKI — Wiersze lubelskie. A. ZAPOTOCKY — Dziadek-głosuje.
K. R. ZAWADZKI — Owoce zdrady. G. TIMOFIEJEW — Kształcenie kadr literackich.

GRN. — „Jak my mamy walczyć ze spekulacją, jeśli ona trudni się potajemnym ubojem”. W Woli Lipowskiej (pow. Braniew) zmienili chłop kierownika grupy hodowców, gdyż dotychczasowy nie wywiązał się ze swych obowiązków. W gminie Kłodawa (pow. Koło) chłop Turowski wygarnął, że ludowcy z tutejszych wsi wiele przeprowadzili akcji z własnej inicjatywy i poczucia patriotyzmu i teraz gmina produkuje w skupie zboża i innych zobowiązań, ale przecież nie dzięki kierownikowi GKW a mimo jego nieaktywności.

W Gorzkowicach (pow. Piotrków) ostro skrytykowali chopi pracownika G.S-u, Raczkę za nie wywiązywanie się ze sprzedaży zboża. W gm. Dymniny (pow. Kielce) spowodowali usunięcie nieuczciwego klasyfikatora Centrali Mięsnej. W gm. Raków (pow. Stopnicki) zdemaskowali spekulanta, który za wypozyczenia (wyszabrowanego) silnika pobierał 50 zł. za godzinę. Silnik przekazał do S.O.M-u.

Na co wskazują te przykłady? Na kierunek aktywizacji politycznej chłopów. Wzmocnia ona praworządność ludową przez wzmacnianie władzy ludowej, przez bojowe i ofiarne ogromadzenie coraz większego aktywności wokół partii, rad terenowych i spółdzielczości. Kopeć Antoni z grom. Komarówka (pow. Pasłęk) nie piastuje urzędu, a w roku ubiegłym skup zboża wypełnił w 300 proc., w obecnym zobowiązał się w 700 proc. Iuż takich Kopećów odsoni tegoroczna akcja skupu, skoro już wiele powiatów wypełniło wszystkie swoje zobowiązania. To są ci, którzy jednoczą i stapiają władzę ludową z masami. Z ich szeregów odnawiać się też będzie aparat terenowy państwa, aparat spółdzielczości i rozwijać kółła partii i Z.S.L-u. To są dobrzy gospodarze, bo pracą ich kieruje głęboki patriotyzm. Cóż oznaczało w planie sześciolletnim, aż o dwie trzecie podniesienie hodowli? Oznaczało rozwój pasz równie i na parceli chłopskiej. Prawdziwi aktywiści, legion przodujących kontraktatorów, rozeszperzając bazę paszową, głęboko zrozumiał zadania i rolę Planu 6-letniego. Staje się on dzisiaj żywym przykładem i wzorem torującym w swoich gromadach jedynie słuszną drogę rozwoju produkcji i dochodowości.

Tej fali aktywności ludowładczej, jaką ożywiła i skonkretyzowała akcja skupu zboża, kartofli i spłat należności finansowych, wróg klasowy próbuje przeciwstawić gdzieś misję biskupią i zyspek na kleryków, ówde pisaną ulotkę, gdzieś plotkę o krzyżach z mieczami na niebie, znak wojny, to znów przepowiednie kilkulatniej posuchy. Stary to arsenał środków, obliczony na zacofane i zabobonne baby. Wróg stosuje opór kulacki, ale odslania dlatego wyrażenie przed chłopami prawdę o przyczynach kapitalistycznej i jego popleczykach tu i tam, na urzędach sołtyśskich, w gminnych spółdzielniach i GRN-ach. W tej kontrakcji wróg zostanie w pełni zdemaskowany, do wypełnienia obowiązków zmuszony, a za podnoszenie głowy — ukarany. Wróg klasowy ponosi smrotną klęskę nie tylko bezpośrednio i nie tylko pośrednio, kiedy rozwiane i rozbite zostają jego zastraszania i kłamstwa, ale również w kręgu świadomych i nieświadomych jego sprzymierzeńców na urzędach. Wszak jak Polska długa i szeroka przez całą jesień rozwija się akcja wypełnienia zobowiązań wobec państwa, fala za falą — odwołanie i spłacanie — zebrania, kontrola, agitacja — i znów odwołanie i dopełnianie spłat. Wielka w tej akcji praca aktywna i mas chłopskich sięga coraz głębiej w życie terenu, coraz szerzej je obejmuje i coraz bardziej zdolnymi czyni chłopów do rządzenia, coraz bardziej na masowych naradach gromadzkich przesiewa tych, co — odpowiadają za organizację polityczną i gospodarczą terenu, coraz większą ilośćą dysponuje nowych kandydatów, którzy przez swój patriotyzm socjalistyczny zasługują na reprezentowanie mas i kierowanie nimi i na nich się wsparł jeszcze bardziej i jeszcze mocniej spoj się masy chłopskie z władzą ludową i z klasą robotniczą.

Takie już widzą perspektywy tegorocznej akcji skupu, a znajdują się one jeszcze w pełnym ciągu.

Piotr Chmura

LEON GOMOLICKI

W świetle prac J. Stalina o językoznawstwie

ZAGADNIENIE JĘZYKA LITERACKIEGO

1.

Byłem na jednej z dyskusji organizowanych przez łódzki Teatr Nowy na temat sztuki Janusza Warmińskiego „Zwycięstwo”. Ktoś z uczestników, zabierając głos, zwrócił uwagę na język, jakim posługują się bohaterowie dramatu. Chodziło mu mianowicie o to, że chłopcy w sztuce mówią ogólnym językiem literackim, nie zaś gwara regionalną. Dyskutowantowi wydało się to „nienaturalne”. Autor odpowiadał tłumacząc się tym, że chciał przedstawić sytuację ogólną, typową dla każdej współczesnej wsi polskiej, niezależnie od jej geograficznego, czy etnograficznego położenia.

Autor miał słusność o tyle, o ile zasada, na którą się powoływał jest zasadą sztuki realistycznej, ukazującej typowe fakty w typowych okolicznościach. Mogł jeszcze dodać, że sprawa czystości, prostoty, a stąd i zrozumiałości języka utworu literackiego jest sprawą znajdującą się u podstaw zagadnień literatury, której celem jest oddziaływanie na masę i wychowywanie ich, nie zaś, zagłębianie się z naturalistyczną skrupulatnością w szczególności etnograficzne. Oczywiście mówimy tu o realizmie socjalistycznym i o literaturze realizmu socjalistycznego.

Mimo częstego powoływania się na tę metodę literacką, zagadnienie stylu i języka literackiego nie są jeszcze dla wszystkich dostatecznie jasne; zbyt często jeszcze pokutują wśród nas pozostałości naturalizmu i formalizmu. Dlatego też warto o tym pomówić szerzej i tak, żeby w nas samych nie pozostały żadne wątpliwości, żadne przyzwyczajenia i wrogie naszej teraźniejszości.

2.

Podając drugoczą krytykę wulgaryzacji teorii językoznawcy Marra, Stalin przyrównał je do teorii „wulgaryzatorów marksizmu w rodzaju „proletkultowców” lub „rappowców”. Proletkult — Proletariackie Kulturalno-Oświatowe Organizacje — powstał w Rosji wkrótce po upadku caratu, jeszcze przed Rewolucją Październikową. Pierwsza konferencja organizacyjna Proletkultu odbyła się w sierpniu 1917 roku. Po Październiku Proletkult stał się organizacją masową, ale rozwój ten zostaje przerwany w końcu r. 1920, kiedy to Lenin położył kres szkodliwej działalności proletkultowców. Na ideologicznych odchyleńach Proletkultu zgubiły zaważyły błędne teorie Bogdanowa, który usiłował zaszczyć kulturę proletariacką obcej jej przesłanki idealistycznej. Główny błąd tych koncepcji polegał na tym, że proletkultowcy ujmowali kulturę proletariatu w oderwaniu nie tylko od postępowych tradycji okresów poprzedzających rewolucję proletariacką, lecz także od innych dziedzin budownictwa rewolucyjnego. Sprawa powstania nowej kultury proletariackiej miała być, według nich, sprawą wyłącznie proletariatu przemysłowego. W ten sposób proletkultowcy zamierzali izolować robotnika w jego twórczych zmaganiach od chłopów i od inteligencji, pozbawiając go jednocześnie wszelkiej spuścizny kulturalnej. Stawało to podatny grunt do szerzenia różnych odłamów scholastyki wulgarnego socjologizmu, nie przeszkadzając jednocześnie uprawianiu formalizmu hasła pseudo-lewicowej sztuki, a więc bezstronności kontynuowania własnej najbardziej wrogich proletariatu praktyk degenerującej się sztuki burżuazyjnej. Będąc organizacją autonomiczną, niepodporządkowaną, lecz tylko istniejącą przy Ludowym Komitecie Oświaty, Proletkult bronił się przed ingerencją wyższych czynników partyjnych. Jego pozycje zostały jednak zaatakowane i rozbite przez Lenina, który w projekcie rezolucji Pierwszego Wszechrosyjskiego Zjazdu Proletkultów w Moskwie przedstawił prawdziwy marksistowski kierunek powstania i rozwoju kultury proletariackiej. Zjazd ten odbył się w pierwszych dniach października 1920 r. Proletkult wegetował jeszcze do roku 1923. Próby stworzenia odrębnej organizacji pisarzy proletariackich nurtowały środowiska literackie przez wszystkie lata, aż do powstania RAPP'u, które nastąpiło w wyniku Pierwszej Wszechzwiązkowej Konferencji Pisarzy Proletariackich, w styczniu 1925 r.

RAPP — Rosyjskie Stowarzyszenie (Asocjacja) Pisarzy Proletariackich — odziedziczyło po Proletkultcie nieufny stosunek do pisarzy pochodzenia nieproletariackiego, tak zwanych „popuczyków”, którzy zgłaszali swój udział w budownictwie kultury proletariackiej. Pewen odłam RAPP'u, mianowicie rappowska „lewica”, wystąpiła nawet ostro przeciwko takiej współpracy.

Zalecana przez rappowców metoda dialektyczno-materialistyczna była w gruncie rzeczy oderwana od życia doktryna wulgarnego socjologizmu. W swoim odchyleniu „lewicowym” RAPP popełnił szereg poważnych omyłek politycznych. Ta szkodliwa dla literatury radzieckiej sytuacja trwała podsycona przez wrogi element, ukrywający się pod pseudo-lewicowymi hasłami. Na samym początku istnienia RAPP'u komplikowała ją jeszcze walka z trockistami, którzy zajęli likwidatorskie pozycje w stosunku do kultury proletariackiej w ogóle. W roku 1932 RAPP przestał istnieć na skutek uchwały KC WKP(b); jednocześnie powołano komitet organizacyjny Związku Pisarzy Radzieckich jako jedynej organizacji literackiej w ZSRR.

Przełomowym faktem w dziejach literatury radzieckiej stał się pierwszy Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy Radzieckich w roku 1934, na którym Gorki wygłosił swój historyczny referat o literaturze, kończąc go następującymi słowami: „Nasz zjazd winien nie tylko dać sprawozdanie czytelnikom, winien być nie tylko przeglądem naszych talentów, ale powinien podjąć dzieło organizacji literatury, wychowania młodych literatów przez pracę, mającą wszechzwiązkowe znaczenie w wszechstronnym poznaniu przeszłości i teraźniejszości naszej ojczyzny”.

Literatura radziecka wstąpiła na drogę realizmu socjalistycznego. Niemniej jednak trzeba było stoczyć jeszcze niejedną bitwę z pozostałościami formalizmu, teorii idealistycznych. W stałej walce, w nieustającej czujności zdobywała literatura radziecka swe charakterystyczne cechy potężnego narzędzia ideologii marksistowskiej.

Jednym z głównych źródeł fałszywej orientacji i szkodliwych wpływów na poszczególne pisarzy były teorie lingwistyczne Marra i jego szkoły. Szkoła ta, która w swej taktyce teoretyka-monopolisty posługiwała się metodami zastraszania — nawet w swych zewnętrznych przejawach przypominała terror stosowany przez monopolistów kultury proletariackiej z Proletkultu i RAPP'u — działała najsilniej ze wszystkich innych teoryj ide-

alistycznych maskujących się frazesem wulgarnego socjologii.

3.

Jak wiemy, zasadniczym błędem koncepcji lingwistycznych Marra było traktowanie języka jako nadbudowy, jako formy ideologii klasowej. Marrowcy ukazywali obraz rozpadu społeczeństwa na klasy, z których każda posiada swój odrębny język; jednocześnie negowano istnienie języka ogólnonarodowego. Na tle tej urojonej perspektywy Marr wysnuł swoją teorię rewolucyjnych zmian językowych. Przy tym język klas zamierających, ustępujących miejsca na arenie dziejowej klasie proletariackiej nie mógł, według wniosków marryzmu, słuszyć proletariatu, w treści swej nie mógł odpowiadać potrzebom budownictwa socjalistycznego, zaś forma jego powinna być pozostałością w sprzeczności z umysłowością mas pracujących. „Tu trzeba mówić nie o reformie pisowni lub gramatyki — pisał Marr — lecz o zastąpieniu norm języka, o przestawieniu go na nowe tory istotnie masowej mowy”. Jak miała wyglądać ta „mowa masowa”, bliżej nie określono. W tych niesprecyzowanych koncepcjach języka przyszłości — języka proletariatu Marr kształtował utopijną wizję języka pozostającego w sferze myśli, wywołanego z krepujących wiewów „języka mechanicznego”. Teoria ta nie była tak naiwna, jak to się może wydać w pierwszej chwili. Podsyłała ona dawne formalistyczne utopie języka „pozarozumowego”, słownictwa futurystów, skojarzenia dźwiękowe i inne sztuczki straszące praktyki degenerującej się literatury burżuazyjnej. W swej zasadzie idealistyczne koncepcje Marra o wyższym stadium rozwoju języka, który ma sam przez się przezwyciężyć swą „mechaniczną” formę, skutkiem czego myśli wyzwoli się od kształtu słowa, było niczym więcej, jak próba usprawiedliwienia dekadentckiego formalizmu, podważającego autorytet słowa jako jednostki logicznej, a przez to samej myśli.

Podważanie to zapoczątkowała filozofia idealistyczna. Pod jej wpływem atak na rozum rozpoczęło w literaturze od deklaracji poetyckich powstałych w okresach reakcji politycznej. Usprawiedliwiano je wówczas jako objaw rezygnacji i zwątpienia. Ale w rzeczywistości sygnalizowały one rozpoczynający się proces oderwania się jednostki od społeczeństwa. Nazwanie słowa „klamstwem”, niewiara w celowość wypowiedzi, której nikt nie jest zdolny zrozumieć, skargi na bezsilność mowy wobec wewnętrznych przeżyć, nieprzetłumaczalnych na język ludzki — taka była treść tych pierwszych, jeszcze nieśmiały deklaratywnych. W następnych latach, sztuka dekadencja dokonała próby całkowitego wyeliminowania myśli z utworu literackiego. Słowo, pozbawione treści logicznej, stało się igraszką formy, zamieniło się w dźwięk bez znaczenia, lub odcień graficzny. W najlepszym wypadku przywracano mu rolę niejasnego podświadomości impulsów pozostających w sferze majaczeń. Takie dziedzictwo, oparte na dość silnej tradycji, otrzymała rosyjska poezja porównawcza. Różnego rodzaju ułudy, futurystyczne „pozarozumowe” propagowały swoje kułgarstwo językowe pod szyldem ostatniego słowa sztuki rewolucyjnej. Trzeba było dopiero wielkiego talentu Majakowskiego, aby twórczo przezwyciężyć ten hałaśliwy jarmark. Trzeba było konsekwencji i artystycznego wielkiego realizmu Gorkiego, aby z tego chaosu wyprowadzić młode pokolenie pisarzy radzieckich, reprezentujące zdrowy styl realizmu socjalistycznego. Na tę drogę skierowała ich wiedza marksistowsko-leninistyczna, to zadanie ułatwiła im partia, która prostowała linię kulturalną, coraz głębiej ingerując w różne dziedziny życia kulturalnego.

Mimo to jednak długo jeszcze — w znacznej mierze wskutek wulgarnych teorii socjologicznych Proletkultu i RAPP'u — pisaży i poeci pewnych ugrupowań nie potrafili zrzucić z siebie nałotów formalizmu. Konstruując swój styl na dekadentach, terminologii produkcyjnej, lub gwarach środowiskowych. Miało to być znowu „ostatnie słowo” techniki artystycznej. Futurysta Chlebnikow próbował stworzyć „język przyszłości”, podstawą zaś jego utopii był kosmopolityczny, uniwersalny formalizm zawsze siedzący w parze z ide-

ologizmem. Oczywiście w praktyce utopie te nie przekraczały wynaturzeń „nadrealizmu”. Chlebnikow np. opierał swoje „słowotwórstwo przyszłości” na selekcji słów podług dźwięków „charakterystycznych” dla pojęć. Opierając się na tej chwiejnej podstawie wnioskował na przykład, że dźwięk „cz” oznacza objętość, ponieważ rozpoczyna wiele wyrazów tego typu, co czasa, czaska, czepek, czerep, czorno itd. Podobne pseudonaukowe badania lingwistyczne różniły się od teorii Marra o języku czystej myśli, „wyzwolonej od kształtów mechanicznych mowy”, tylko tym, że autorzy ich w swym cynizmie nie krępowali się zupełnie występowaniem z jawną bezsensownością; Marr, natomiast, nie będąc w stanie skonkretyzować swej oderwanej utopii, podsyłał im teorię podniecającą ich anarchizujące wybrki. Istotnie zaś celem wszystkich nonsensów formalistycznych była tendencja pognięcia myśli, a tym samym rozumnej istoty człowieka.

4.

Utopijny „język przyszłości” był wszędzie tylko jednym ze szczególnych idealistycznych koncepcji Marra. Badając język potraktowany jako nadbudowa ideologiczna, Marr oraz adepci jego teorii o stałości rozwoju języka, zawsze i wszędzie podkreślali zjawiska przejściowe, właściwe poszczególnym środowiskom, nie zaś stałe, ogólnonarodowe. Wywoływało to niebezpieczne pomieszanie pojęć języka i dialektu, języka i żargonu. Nie bez wpływu marryzmu, naturalistyczna tendencja naśladowania gwar i błędów wymowy znajduje w pierwszych latach porównawczych tak szerokie zastosowanie w powieści rosyjskiej. Aczkolwiek trudno byłoby oczywiście wysledzić bezpośrednie związki między teorią lingwistyczną, a praktyką pisarską, intencją ich jest raczej wspólna, ponieważ polega na przesadnym zainteresowaniu dialektem regionalnym i gwara. Zainteresowanie to sięga w utworach poetyckich i prozaicznych, ukazujących się w dwudziestych latach bieżącego stulecia, aż do fonetycznego naśladowania, aż do wprowadzenia nawet specjalnych znaków dla dźwięków podświadomości w mowie potocznej. Robił

to na przykład poeta Selwiński, naśladowując wymowę kozacką lub cygańską, stosowała to Sejfullina w swoich wczesnych powieściach, wtrącając słowa i zwroty w żargonie złośliwych, lub w dialekcie regionalnym sybirsko-uralskim. W tym samym okresie stosuje to Wsiewołod Iwanow, fonetycznie naśladowując dialekt wsi sybirskiej i język mongolski, a także łamany język rosyjski, jakim posługują się Chinczycy i Japończycy, Leonid Leonow w „Powrocie Buddy” przytaczał całe ustępy w języku tatarskim, nie tłumacząc ich na rosyjski. Jedynie na końcu książki była — umieszczona ogólna wskazówka, że tatarskie wyrazy należy wymawiać kładąc akcent na ostatniej sylabie.

Nie dziwnego, że język tych utworów został powitany przez formalistów jako poszerzenie „pozarozumowości”. Futurysta A. Kruczonyh, jeden z „twórców” nonsensów „pozarozumowych”, wydał w roku 1925 książkę, w której na przykładach prozy Sejfullina, W. Iwanowa, Leonowa, Babcia i in. dowodził słusności swych założeń formalistycznych, według niego, wchłoniętych i uświeconych przez rewolucję. Była to próba przemycenia pod hasłem sztuki rewolucyjnej anarchizującej metody, rozkładającej język na pozbawione jakiegokolwiek znaczenia dźwięki, która futurysta „naukowo” nazywała „teorią względności słowa”. W równej mierze niebezpieczne było zachwycenie języka literackiego przez wprowadzenie wulgaryzmów, przez naśladowanie również z fonetyczną ścisłością niepoprawnej wymowy, przez używanie zniekształconych wyrazów w duchu literatury naturalistycznej. Tradycje tego „stylu” wywodziły się częściowo z prozy Leskowa, wielkiego znawcy dialektów i przemian języka rosyjskiego na przestrzeni wieków XIX, ujemną jednak stroną pogłębiania tego zjawiska było to, że pisarze porównawczy nie doszukiwali się w naśladowanej mowie analfabetyzmu „nowego języka”, który uważali za język proletariatu. Niektórzy mieli nawet ambicję „stworzenia” dla nowej epoki proletariackiej specjalnego języka na podstawie podświadomości na ulicy wulgaryzmów. W tej swojej intencji byli oni zgodni z teorią stadialnego rozwoju języka marrowców, która ze swojej strony niewątpliwie popierała szkodliwe praktyki wulgaryzujących stylistów.

Dopiero analizując te sprawy, połączone z zagadnieniami języka literatury i stylu literackiego, widzimy, jaką bezcenną wartość posiadają wypowiedzi Stalina zadające drugoczą cios „nowej nauce o języku” szkoły Marra.

Historyczny proces wchłaniania dialektów regionalnych przez język ogólnonarodowy, genialnie ukazany przez Stalina, nabrął tym większą siłę w latach porównawczych. Próby utrwalenia dialektów i wulgaryzmów w sztuce nie tylko kolidowały z rzeczywistymi przemianami zachodzącymi w języku rosyjskim, lecz były tym samym wysoczką szkodliwą. Z jednej strony, zamieniały one język utworów literackich, z drugiej zaś — dotkliwie krzywdziły naród radziecki, który szybko postępował w swoim rozwoju kulturalnym, zrzucając z siebie wszelkie oznaki dawnych braków i wad ciemnoty, analfabetyzmu, ignorancji. Wszystkie te ujemne cechy umyślnie i celowo kulturowane były przez rząd carów i kapitalistów, których kulturalny rozwój ludu napawał strachem przed zbliżającą się rewolucją. Obdarzanie ludzi radzieckich cechami całkowicie im obcymi, wywodzącymi się z najsmutniejszego okresu zacięcia, zostało surowo naprzemowane w uchwale KC WKP(b), oraz w referacie Zdanowa w związku ze sprawą czasopism leningradzkich. Język literatury radzieckiej powolany został do szczytnej roli narzędzia podnoszenia poziomu kulturalnego mas czytelników. Warunkiem sprawności i skuteczności tego narzędzia była zdolność do „ręczenia” każdego odbiorcy utworu literackiego, a więc prostota i ścisłość. W ten sposób każdy wyraz, uważając, że najmniejsza niejasność języka powoduje niebezpieczeństwo niejasności ideologicznych. Ozywiście konieczność stałej wymiany myśli młodym Stalin, dodając: „bez języka zrozumiałego dla społeczeństwa i wspólnego dla jego członków społeczeństwa zaprzestaje produkować, rozpada się i przestaje istnieć jako społeczeństwo. W tym sensie język, jako narzędzie komunikowania się jest zarazem narzędziem walki i rozwoju społeczeństwa”.

Przeniesione w sferę zagadnień literatury słowa te są znakomitą ilustracją do genialnej tezy Stalina, nazywającej pisarzy „inżynierami dusz ludzkich”. Doniosłość tych słów jest wybitnie mobilizująca, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i wytyczne literackiej metody realizmu socjalistycznego.

Przeniesione w sferę zagadnień literatury słowa te są znakomitą ilustracją do genialnej tezy Stalina, nazywającej pisarzy „inżynierami dusz ludzkich”. Doniosłość tych słów jest wybitnie mobilizująca, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i wytyczne literackiej metody realizmu socjalistycznego.

Przeniesione w sferę zagadnień literatury słowa te są znakomitą ilustracją do genialnej tezy Stalina, nazywającej pisarzy „inżynierami dusz ludzkich”. Doniosłość tych słów jest wybitnie mobilizująca, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i wytyczne literackiej metody realizmu socjalistycznego.

Przeniesione w sferę zagadnień literatury słowa te są znakomitą ilustracją do genialnej tezy Stalina, nazywającej pisarzy „inżynierami dusz ludzkich”. Doniosłość tych słów jest wybitnie mobilizująca, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i wytyczne literackiej metody realizmu socjalistycznego.

EDWARD MARTUSZEWSKI

W PRACY LITERATA — TŁUMACZA

Maksym Gorki powiedział, że „zasadniczym elementem literatury jest język, podstawowy orzeł, oraz — razem z faktami, przejawami życia — materiał literatury”. W artykule o realizmie socjalistycznym pisał: „Najistotniejsze piękno języka, posiadającego siłę oddziaływania, powstaje dzięki precyzyjności, jasności, dźwięczności słów, które nadają formę obrazom, charakterom, myślom książek”.

A Włodzimierz Majakowski przeprowadził następujące porównanie: Poetę

to wydobywanie radu.
Dla uzyskania jednego grama
rok pracy.
Zmaruśniesz
dla jednego słowa
tysiące ton
słownej rudy.

Dla każdego pisarza podstawowym „surowcem produkcyjnym” jest więc jego język ojczysty. Dla każdego pisarza jest on również orzeł waleki. Przy jego pomocy bowiem pisarz przekazuje odbiorcom swoich utworów własne myśli, bierze udział w walce i rozwoju społeczeństwa.

Wypowiedź Józefa Stalina na temat językoznawstwa nie porusza wprawdzie bezpośrednio zagadnienia przekładu, lecz mimo to daje dużo materiału o wielkiej wartości orientacyjnej dla literata — przekładowcy. Musi on zawsze pamiętać o tych, najważniejszych dla niego, stwierdzeniach:

„Słownictwo samo przez się nie jest jeszcze językiem. Jest ono raczej materiałem budowlanym języka”.
„Ale słownictwo uzyskuje ogromne znaczenie, gdy zostaje oddane do dyspozycji gramatyki”.

„Słownictwo języka... znajduje się w stanie niemal nieprzerwanych przemian”.

„Zmienia się ono nie tak jak nadbudowa, nie w drodze zniesienia tego co stare i budowy nowego, lecz w drodze uzupełnienia istniejącego słownictwa nowymi wyrazami”.

„Budowa gramatyka języka zmienia się jeszcze bardziej powoli, aniżeli jego podstawowy zasób słów”.

„Struktura języka, jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów są wytworem wielu epok”.

W tych słowach Józefa Stalina znajdujemy określenie zasadniczych cech charakterystycznych każdego języka, jego głównych elementów składowych i rozwojowych. Stwierdzenie to determinuje podjęcie literata — przekładowcy do dwóch zasadniczych elementów języka, jakim są: gramatyka i słownictwo. Chcąc precyzyjnie i właściwie stosować formy gramatyczne, oraz wybrać odpowiednie słowa literat — przekładowca musi znać obydwa języki w ich rozwoju historycznym, nie

może ograniczyć się do znajomości powierzchownej, „naskórkowej”. Znajomość obu języków musi więc nieść u niego podbudowę naukową, musi on być językoznawcą, a nie tylko „znającym język”. Dylematyzm językowy w pracy literata — przekładowcy musi doprowadzić do tego, że wyniki jej będą przypadkowe i nigdy nie będziemy mieć pewności, czy następny przekład utrzyma się na poziomie poprzedniego.

Choć język jest ośrodkiem komunikowania się ludzi, umożliwia im wzajemne zrozumienie się i zorganizowanie wspólnej pracy, to jednak inaczej ten proces porozumienia przebiega np. w auli uniwersytetu, na wykładzie profesora fizyki, a inaczej w audycji poetyckiej nadawanej przez radio, czy też urządzonej w świetlicy. Tak poeta jak i profesor posługują się tym samym językiem, tą samą gramatyką i czerpią z tego samego zasobu słownictwa, ale podczas gdy pierwszy z nich pragnie oddziaływać przede wszystkim przy pomocy obrazów, emocjonalnie, pragnie wzruszać i tą drogą wywoływać u słuchacza myśli, które są jego własnymi myślami, drugi dba przede wszystkim o precyzyjne sformułowanie, o zachowanie zasad logiki i oddziaływanie na intelekt ludzi, z którymi komunikuje się przy pomocy tego samego języka. Pierwszy z nich pokazuje, drugi wykazuje, a łączy ich to, że obaj starają się przekonać. Tak więc, posługując się tym samym językiem możemy wybierać różne środki wyrazu: artystyczne, publicystyczne, naukowe itd.

Literat, posługując się wspólnym dla wszystkich członków jego narodu językiem, stosuje dowolnie, różne środki wyrazu. Przekładowca musi więc być świadomym tego, „w jakiej proporcji” artystyczne środki wyrazu np. Bolesława Prusa, zwane potocznie językiem Prusa, pozostają do innych środków wyrazu w języku polskim, w jakim stosunku pozostają one do środków wyrazu, stosowanych przez innych pisarzy polskich, które określa się sumarycznie jako „polski język literacki”. Przeanalizowanie tych wzajemnych stosunków nie jest potrzebne czytelnikowi, odbiorcy, dla odczucia piękna i zrozumienia wartości artystycznej utworu, nawet jeśli ten utwór napisany jest w języku obcym dla niego, ale staje się nieodzowne dla przekładowcy, który jest pośrednikiem. Musi on bowiem znaleźć w swoim języku ojczystym takie środki wyrazu, które byłyby właściwymi odpowiednikami środków wyrazu artystycznego, zastosowanych w oryginale.

Przed każdym pisarzem stoją nieograniczone możliwości posługiwania się istniejącymi już środkami wyrazu i tworzenia nowych. Inaczej

rzecz ta ma się w wypadku literata — przekładowcy. Dla przekładowcy bowiem granicą wyboru środków wyrazu artystycznego jest granica poziomu artystycznego, osiągniętego przez autora oryginału. Dobry przekładowca powinien więc być wytrawnym krytykiem, powinien umieć w naukowy sposób określić pozycję przekładanego utworu i jego autora w literaturze obcej po to, aby z taką samą precyzją określić jakie miejsce przekładany przez niego utwór powinien zająć w drugiej literaturze.

Sprawa środków wyrazu jest jednakże nie tylko sprawą świadomości krytycznej, ale również sprawą możliwości artystycznych danego literata — przekładowcy. Zastosowanie właściwych, artystycznych środków wyrazu decyduje o wartości przekładu i jest zarazem największą jego trudnością. Już Bieliński pisał: „Jedną z zasad dla przekładu utworów artystycznych — należy przekazać ducha tłumaczonego utworu, a nie można tego uczynić w inny sposób, jak tylko przekazując go w języku rosyjskim tak, jakby napisał po rosyjsku sam autor, jeśli by był Rosjaninem”.

Odpowiedzialność artystyczna tłumacza jest nadzwyczaj wielką. Praca jego bowiem ma wzbogacić kulturę drugiego narodu przez przyswojenie językowi, jakim ten naród włada, utworu napisanego w oryginale w innym języku. Literat — przekładowca powinien więc w pełni przekazać treść ideową (pomocą w tym będzie dla niego wspomniane już poprzednio, przygotowanie naukowo-krytyczne), oraz charakterystyczne dla tego utworu walory artystyczne. Tak więc — po trzecie — przekładowca musi być również artystą, czytelnym i piękno i umiejacym przekazać je swoim czytelnikom.

Józef Stalin w swej wypowiedzi na temat językoznawstwa pisze: „Język i prawa jego rozwoju można zrozumieć tylko w tym wypadku, gdy bada się go w nierozdzielalnym związku z historią społeczeństwa, z historią narodu, do którego badany język należy i który jest twórcą i nosicielem tego języka”.

Historia języka jest więc ściśle związana z historią społeczeństwa, jest niejako jej syntetycznym odzwierciedleniem. Każdy język obsługuje w przeszłości różne bazy i różne nadbudowy. Ale te bazy i nadbudowy w różnych krajach miały — oprócz wspólnych cech ogólnych — swoje cechy charakterystyczne i faktu tego nie można pojmować w badaniach nad językiem, z którego się tłumaczy i w badaniach nad językiem, na który się tłumaczy. Poprzedzając językoznawcy, które określili jako pierwszy obowiązek literata — przekładowcy, musi on dojść do pogłębienia (w histo-

Edward Martuszeński

Leon Gomolicki

JERZY WIATR

Z PRZEDWOJENNYCH DZIEJÓW MŁODZIEŻY GODZIANOWSKIEJ

(O pracy organizacji młodzieżowych na wsi)

GODZIANÓW ma już za sobą długą historię organizacji młodzieżowych. Rozwijają się one od pierwszych lat okresu międzywojennego. Ta historia godzianowskich kol młodzieży jest ściśle związana ze strukturą i historią wsi.

Godzianów można określić jako wieś średniacka.

Ziemia raczej zła — żytніo kartoflana — w pewnym stopniu tłumaczy strukturę wsi. Przede wszystkim stanowiła ona zaporę — oczywiście niewystarczającą — dla rozpadu gospodarstw — drogą działań. Mniejszej gospodarstwo na tej ziemi nie mogło utrzymać rodziny. Stąd pęd do miasta. Ale w warunkach kapitalizmu ten pęd był hamowany bezrobociem.

Z drugiej strony byli we wsi kulać. Kulak godzianowski w dużej mierze miał do pokonania również warunki naturalne tj. złą ziemię. Dlatego kulactwo godzianowskie kładło i kładzie olbrzymi nacisk na monopolizację nauki. Poprzez naukę doprowadzali swe gospodarstwa do kwitującego stanu. Pierwszymi wprowadzali nawozy sztuczne i maszyny stosując w rolnictwie wiedzę zdobytą w szkołach. Oczywiście sama wiedza nie dałaby im tej przewagi nad wsią. Te przewagi dawano im eksploatacja wsi. Realizowali ją czterema zasadniczymi sposobami: 1) przez zatrudnianie najemnej siły roboczej stałe i sezonowe, 2) przez wyposzczanie maszyn rolniczych na zyskowych dla kulaka warunkach, przeważnie za odrodek; 3) przez lichwę, żerującą głównie na przedwojennych nędzy; 4) przez system spółdzielni (spożywczej, mleczarskiej, piekarskiej, betonarskiej) związanych z gospodarstwami kulackimi i przynoszących kulakom największe zyski.

Wreszcie charakterystyczny dla Godzianowa jest brak obszarniczego majątku, a co za tym idzie brak proletariatu rolnego. Kulak był w Godzianowie panem niepodzielnym, gdyż nie przeciwstawiał mu się proletariatus.

W tej sytuacji powstał w Godzianowie ruch młodzieżowy. Powstał on na dwóch biegunach, które nie były biegunami klasowymi. Podział na młodzież grupującą się wokół kościoła i na niezależną młodzież wiciową nie był równoznaczny z podziałem na biedniaków i kulaków. I tam i tu grupowali się przedstawiciele różnych klas.

Młodzież godzianowską — oczywiście, nie tylko godzianowską — system kapitalistyczny chciał wtłoczyć w ramy organizacji patronackich, dających pełną gwarancję, że młodzież ta nie pójdzie walczyć przeciw istniejącemu ustrojowi. Takie organizacje tworzył kler. Jeszcze przed I wojną przy kościele powstała chór i orkiestra. Później, już po wojnie, powstaje koło KSM-u, sekcja mariańska, wreszcie przed II wojną Akcja Katolicka. Są to organizacje będące wyrazem wpływu kleru na młodzież. Wpływ ten był niewątpliwie bardzo duży. Jego skutkiem była słabość lewego skrzydła wsi, z tego, że do wsi nie docierała propaganda komunistyczna, z tego, że w Godzianowie całą lewicę reprezentowali nieliczni i obaleni agraryzmowi wicjarze — biedniacy. Wyrazem dążenia kleru do organizowania uchwycenia młodzieży jest mnogość form organizacyjnych i wciąganie do nich coraz liczniejszych grup młodego pokolenia godzianowianów.

Ten rozwój idący w kierunku wzrostu organizacji przykościelnych nie był rozwojem harmonijnym, odbywał się w walce z tą grupą, która przeciwstawiała się dążeniom kleru. Było to często przeciwstawianie się nieswiadomości. Działali tu nawet takie czynniki, jak chęć rozrywki i poszerzenia wiadomości. Np. Józefa Murgrabia, przedwojennego wicjarza, tak tłumaczy zapisywanie się dziewcząt do koła młodzieży:

„Rozrywek żadnych nie było, a w gromadzie to zawsze było wesele. Ja chciałam się trochę zabawić i nauczyć”.

Taka argumentacja, wolna od akcentu politycznego, występuje często u członków „Wici”. Ale równocześnie niewątpliwą była niechęć do kleru, spowodowana tym, że ludzie odczuwali w nim sojusznika i obrońcę ustroju kapitalistycznego. Dalsze dzieje „Wici” dostarczają bogatego materiału świadczącego o dojrzeniu wśród młodzieży godzianowskiej nastrojów antyklerykalnych. Zresztą nie było to zawsze musi być wręcz antyklerykalizm. U niejednego występowała jedynie dążeń do zachowania samodzielności koła młodzieży i odrębności od plebanii.

O tę samodzielność toczyła się w latach międzywojennych walka. Stanowi ona jeden aspekt historii koła wiciowego. Drugi aspekt to opowiadanie „Wici” przez kulaków i ich oddziaływanie na młodzież biedniacką, należąca do organizacji.

Powiedziałem, że podział młodzieży na KSM-ową i „wiciową” nie pokrywał się z podziałem klasowym. Wy tłumaczę to można tym, że kler miał również silny wpływ na młodzież biedniacką i średniacką. Wpływ ten bardzo silnie oparty na tradycji klerykalnej przejawiał się we wciąganiu grup młodzieży biedniackiej i średniackiej, na równi z kulakami do KSM-u. Część młodzieży wyrwała się z sieli plebanii i tworzyła warunki na istnienie odrębnej organizacji młodzieżowej. W grupie tej znalazła się również młodzież kulacka, mająca ambicje samodzielnego kierowania życiem wsi.

W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową, wieś miała już

pewne doświadczenia polityczne. Doświadczenia te były dwójakiego rodzaju. Pierwsze, to „Zaranie”. Do wsi dochodziły egzemplarze „Zarania”. Znamy takie domy „zaraniarskie”, jak Bartosików (Grzegorz Bartosik, 5 ha ziemi ojciec członka spółdzielni Szczepana), Markowiczów (8 ha ziemi), Petrynow (ojciec Aleksandra, członka spółdzielni, 2 i pół ha ziemi).

Jest rzeczą charakterystyczną, że wśród godzianowskich „zaraniarzy” nie było kulaków, nawet tych aktywnych i czynnych w latach międzywojennych. Tłumaczy się to faktem, że kulacy jeszcze nie zostali postawieni przed koniecznością opowiadania samodzielnego ruchu pracującego chłopstwa. Ta tradycja „Zarania”, słaba zresztą, stanowiła rodzaj ideologiczny międzywojennych ludowców godzianowskich. Z niej wywodzi się radykalizm biedniackiego skrzydła ludowców i „wiciarzy”, tego skrzydła, które opowiadało chłstanie godzianowska klasa rządząca — kulacy.

Takie były te pierwsze radykalne tradycje z okresu zaborów. Ale poza strongą radykalną istniała również klerykalna, plebańska strona medalu. Ksiądz Jakobi, który w pamięci starszego pokolenia wsi zapisał się swą aktywnością zorganizował chór (1906 r.) i orkiestrę kościelną (1908 rok). W pierwszym okresie przeważała w obu młodzieży kulacka, lub bogatsza młodzież średniacka. Później zaś, gdy pojawiła się w nich młodzież biedniejsza, rej w tych organizacjach nadal wodził kulacy. Pod ich kierownictwem młodzież biedniacka i średniacka stawała się wiernymi obrońcami kapitalizmu.

Tak wyglądały początki. Pierwsze próby organizowania życia politycznego na wsi.

Nowy moment stanowiła wojna i usunięcie w wyniku niemieckiej ofensywy wojsk i władz carskich. Pod zaborem niemieckim zaistniały większe możliwości legalnego organizowania się. To też już w 1916 roku powstała w Godzianowie Drużyna Teatralna, zorganizowana przez nauczycielkę Krasnodębską. W Drużynie znalazła się 30-osobowa gromadka. Nie była to jeszcze pełna samodzielność, bo nad Drużyną wisił bardzo mocno patronat Krasnodębskiej.

Postawa polityczna Krasnodębskiej została wyrażona wyraźnie o wiele później, bo dopiero w 1948 roku, w czasie dyskusji wywołanej artykułami Gałaja o Godzianowie (Wies) 1948). Dyskusja dotyczyła roli, którą odegrali kulacy — przedsiębiorcy w życiu wsi. Krasnodębska wyraźnie opowiedziała się po stronie kulaków.

Tak więc Drużyna powstała pod patronatem szkoły, pod patronatem reakcyjnie usposobionej nauczycielki. Wpłynęło to decydująco na charakter pracy Drużyny. Przedstawienie teatralne o treści ogólnopatriotycznej wiązano tematycznie ze swościę pojmowaną zagadnieniem roli chłopów w Polsce. Przykładem może być przedstawienie pt. „Kosciuszko pod Racławicami”, którego zadaniem było skierować uwagę młodzieży chłopskiej nie ku rozwiązaniu problemu nierówności i krzywdy społecznej, lecz ku metafizycznej pojmowanej walce o „niepodległość w ogóle”. Obok przedstawień teatralnych praca Drużyny polegała na zebraniach towarzyskich, o których żyjących jeszcze w pamięci wsi „wieczorkach” u Krasnodębskiej. Zaspakajaly one potrzebę rozrywki i towarzyskiego wyżycia się, jak również poszerzenia zakresu wiadomości o otaczającym życiu.

Okres międzywojenny jest okresem, kiedy w Godzianowie zaczyna rozwijać się bardzo bujnie działalność polityczna i gospodarcza klasy kulackiej. Na terenie wsi działały dwie partie: ludowcy („Wyzwolenie”) i endecy. Na czele „Wyzwolenia” stał kulak Jagielski, będący zarazem prezesem Koła Rolniczego, organizatorem i wielokrotnym prezesem spółdzielni mleczarskiej, piekarskiej i betonarskiej. Jego działalność gospodarcza doskonale uzupełniała się z polityczną. Głoszone walkę z ustrojem, ale walkę bardzo umiarkowaną w środkach i zasięgu, rezygnującą z ostrych wystąpień antykapitalistycznych, a nade wszystko rezygnującą z sojuszu z klasą robotniczą. Na czym więc miała polegać krytyka ustroju kapitalistycznego? Szeregowym ludowcom i „wicjarom” przedstawiano agraryzm jako drogę przebudowy ustroju kapitalistycznego. W miejsce kapitalizmu miała powstać rzeczpospolita spółdzielcza, złożona z sieci spółdzielni ogarniających wszystkie dziedziny wytwórczości przemysłowej i handlu. Spółdzielnie te miały powstawać w ramach istniejącego ustroju drogą oddolnej inicjatywy ludności. Jedną tylko dziedziną miała nie być objęta spółdzielczość. Ta dziedzina, to rolnictwo, w którym ideałem agrarystycznym było 10-hektarowe gospodarstwo rolne — hodowlane typu czeskiego czy duńskiego. Taki program przedstawiano młodzieży jako urzeczywistnienie walki z kapitalizmem. Godzianów jest jaskrawym przykładem tego jak w rzeczywistości przedstawiały się te perspektywy „rzeczpospolitej spółdzielczej” po zrealizowaniu. Oczywiście mogły to zająć się tym zagadnieniem tylko skróty, o tyle, o ile się to konieczne dla zrozumienia perypetii ideologicznych młodzieży „wiciowej”. Spółdzielnie go-

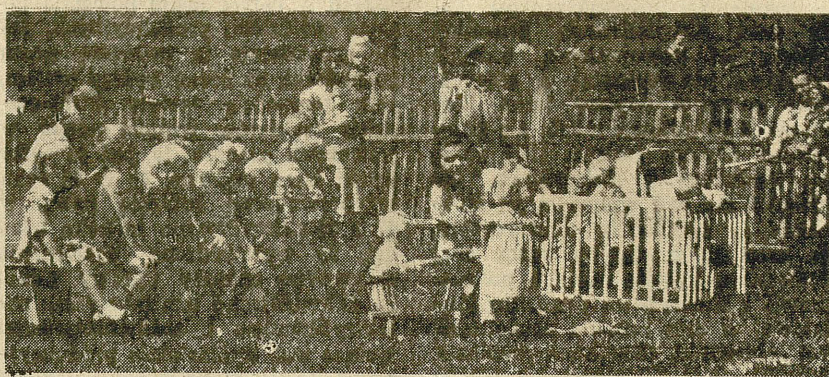


Foto WAF

dzianowskie organizowali kulacy i mocni średniacy. Inicjatorem tego ruchu był Jagielski. Spółdzielnie przynosiły realny zysk i pomoc gospodarstwom kulackim. Spółdzielnia mleczarska dla kulaków oznaczała ułatwienie zbytu produktów hodowlanych. Dla biedoty nie miała ona tego charakteru. Owszem, biedota również odstawiała do spółdzielni pewne ilości mleka. Nie miało to jednak charakteru intensyfikacji produkcji, lecz było odejmowaniem sobie od ust części dotychczas spożywanego stałe pożywienia. „Mleczarnia przyniosła gruźlicę na wieś” — mówi jeden ze starszych biedniaków. Zupenie wyraźnie widac tę służebną rolę spółdzielni kulackich. Przecież to właśnie bogatym gospodarzom ułatwiała spółdzielnia inwestycje. Dla biedoty i dużej części średniactwa sprawa tych inwestycji była zupełnie nie do zrealizowania. Wreszcie nawet takie spółdzielnie jak piekarska czy spożywców wychodziły w ostateczności na korzyść dla kulaków, gdyż zwiniały w biedniackich gospodarstwach ręce

do pracy na ziemi kulackiej. Czy przez to poprawiała się sytuacja biedoty? Częściowo tak. Odciążenie od pracy domowej polepszało sytuację w tych gospodarstwach, ale równocześnie zwiększona podaż rąk roboczych pogarszała warunki pracy na jennym w gospodarstwach kulackich. Kulacy wyrosli wreszcie dużą korzyść z samego faktu sprawowania władzy w spółdzielniach. Dawało im to mocną pozycję we wsi i uzależnienie bardzo silne i wyraźne, co jest zupełnie zrozumiałe jeżeli się weźmie pod uwagę, że biedota marzyła zawsze o uzyskaniu pracy w spółdzielni, a przydział pracy zależał od kulaka prezesa.

Reasumując można powiedzieć, że działalność grupy „przedsiębiorców” kulackich na terenie politycznym, działalność polegająca na kierowaniu aktywności chłopów na drogę wytyczoną przez agraryzm, szła po linii klasowych interesów kulactwa. Po tej samej linii szło wykorzystanie wygodnego dla kulaków hasła niezależności od czynników pozawielkości. Niezależność tę rozumiano ja-

ko niewiązanie się z plebanią i starostwem, ale równocześnie główny nacisk kładziono na oderwanie się od sojuszu z klasą robotniczą. W ten sposób miał wytworzyć się „niezależny” ruch ludowy, w którym pozycję panującą zdobyli kulacy. Kierując „Wyzwoleniem” godzianowskim kulacy postanowili podporządkować sobie młodzież zgrupowaną w powstałym z Drużyny Teatralnej kole „Siewu”. To podporządkowywanie sobie młodzieży wypełniło historię międzywojennych „Wici” i wykroczyło daleko poza rok 1939.

Inną nieco pozycję zajęła druga grupa kulaków, ta która zorganizowała się w kole endekim. Endecy: Białkowski, Petrynowski, Murgrabia Franciszek postawili na ściągając współpracę z kościołem. Ich powołanie we wsi w ogromnym mierzepierało się właśnie na spełnianiu roli „podpor kościoła”. Nie mieli oni oczywiście własnych ambicji, jeżeli idzie o zorganizowanie młodzieży. Zadawali się tym, że młodzież zgromadziła się wokół kościoła. Gdy zaś sam kościół nie był w stanie przełamać oporu młodzieży przeciw zakładaniu Akcji Katolickiej (1937 r.), endecy wystąpili aktywnie i poprzez swoje dzieci dopomogli zorganizować młodzież w Akcji. Taką rolę odegrali w tym czasie syn i córka Edwarda Białkowskiego.

Na tle konkurencji o ludzi dochodziło do pewnej rywalizacji między ludowcami i endekami. Również dyskusje ideologiczne przyczyniły się do uświadomienia sobie pewnej odrębności ideologicznej obu stronnictw. Ale w żadnym wypadku nie była to walka. Jeden z bliskich przyjaciół politycznych Jagielskiego (za razem jego powinowaty) ludowiec Józef Kroc tak mówi o tych dyskusjach międzypartyjnych:

„Myśmy w takiej szóstce, jakby rodzinie dyskutowali o polityce. Ich było trzech i nas trzech. Ale jakichś niechęci to między nami nie było”.

Natomiast ze zdecydowanym sprzeciwem obu grup spotkała się próba założenia komórki OZON-u we wsi (około 1935 r.). Próba ta nie powiodła się. Sanacja nie była w Godzianowie popularna. Ostatnie wybory przed wojną zbojkotowano.

Dla charakterystyki pracy koła „wiciowego” w okresie międzywojennym niezwykle cennym materiałem są protokoły z zebrania. Obejmują one lata 1931—1938.

W tym okresie koło „wiciowe” było już organizacją o dość wyraźnym wykrystalizowanym miejscu we wsi. Zakładała się zwycięska walka o „niezależność” się od sanacji i od kleru. Równocześnie zdecydowanie ugruntowało się panowanie kulactwa w „Wiciach”.

Na czym polegało panowanie kulactwa wśród młodzieży?

Przed omówieniem tego zagadnienia warto zaznaczyć, że to składem zarządów „wiciowych” w tym okresie.

W roku 1931 kołem kierowali Józef Moza (bezrolny) i Jan Murgrabia (4 i pół ha). Najpierw przewodniczącym był Moza, sekretarzem Murgrabia. Po zmianie w ciągu roku Murgrabia przewodniczącym, Moza sekretarzem. Obaj ci działacze nie należeli do klasy bogaczy. Natomiast należeli oni do aktywniejszego, do czynnych działaczy spółdzielczych, pracujących pod kierownictwem Franciszka Jagielskiego.

Przy wyborach 1932 r. kierownictwo koła dostało się jako przesyłowi Janowi Jagielle (9 i pół ha). Jest to bardzo ściśle związany z Jagielskim działacz młodzieżowy i spółdzielczy, który aż do chwili obecnej pozostał wierny swemu ówczesnemu, pro-kulackiemu stanowisku. Obok niego sekretarzem pozostał nadal Józef Moza.

Niewątpliwie, już z tego zestawienia wynika, że ilość młodzieży kulackiej i bogato-średniackiej w kierownictwie koła była specjalnie duża. Ale równocześnie udział Józefa Mozy, Kowary, czy Murgrabiego świadczy o tym, że nie były to zarządy pozawielkości biedniaków i drobnych średniaków.

I tu wylania się drugie zagadnienie. Jak, jakimi metodami kulactwo zabezpieczało się przed wystąpieniem młodzieży biedniackiej.

Jedną metodą — to ograniczenie niezależności „niezależnego” koła wiciowego. Koło to podporządkowywało się dwóm ludziom reprezentującym — każdy na swój sposób — interesy klasy kulaków.

Pierwszym z nich jest przywódca kulacki Franciszek Jagielski. On sam bezpośrednio kołem „Wici” się nie zajmował. To koło „wiciowe” wychowuje i jest wychowywane w atmosferze wskazywania na Jagielskiego jako na wzorowego gospodarza. Właśnie do Jagielskiego urządzano wycieczki wiciowe w celu praktycznego zapoznania się z ideałem agrarystycznego gospodarstwa. Jagielski był proszony specjalnie uchwalać na wszystkie ważniejsze uroczystości urządzane przez koło „Wici”. Niekiedy przybywał na zebrania i udzielał rad.

Drugą osobą wywierającą bardzo silny wpływ na „Wici” był Wojciech Gruziel. Był to nauczyciel szkoły powszechnej w Godzianowie w okresie przedwojennym i w czasie wojny. Politycznie już przed wojną związany był z ruchem ludowym, a wewnątrz tego ruchu z jego kulackim skrzydłem. Po wojnie wystąpił jako czynny i aktywny zwolennik Mikołajczyka. O jego postawie politycznej świadczą zarzuty, stawiane

mu przez chłopów, że faworyzował dzieci „ludowców” kosztem innych. Gruziel, rozłożył opiekę nad kołem „wiciowym”. Prawie stale był na zebraniach. Zabierał głos we wszystkich poważniejszych kwestiach. Przedstawiał projekty planów pracy. W ciągu kilku lat był członkiem Komisji Rewizyjnej.

Ale błędem byłoby przypuszczać, że tylko poprzez tych dwóch ludzi, oraz przez kulacką młodzież w „Wiciach” panowano nad młodzieżą biedniacką. Kulactwo miało jeszcze broń ukutą wprawdzie poza Godzianowem, ale służącą także do rozgrywek w „Wiciach” godzianowskich. Tą bronią była agrarystyczna ideologia „Wici”, ideologia solidaryzmu społecznego. W 1934 r. koło „Wici” urządziło „Dni Agraryzmu Słowian”. W duchu agrarystycznym obchodzone jest „Święto Wiosny”. Ogromny nacisk położony został na propagandę kulackiej spółdzielczości. Urządza się wycieczki do spółdzielni mleczarskiej, obchody „Dni Spółdzielczości”, pogadanki propagujące spółdzielczość jako drogę przebudowy wsi. Na zebraniach koła wygłaszane są agrarystyczne pogadanki na temat gospodarczej przebudowy wsi.

Wreszcie potężnym środkiem agrarystycznego oddziaływania na młodzież są Uniwersytety Ludowe. Na U. L. w Gaci koło wysłało trzy osoby: Jana Jagielle, Józefa Mozy i jego żonę.

Nie jest przypadkiem fakt, że właśnie przodujący aktywista wiciowego, należący do biedoty skierowano do Gaci. Był on najgroźniejszy dla kulactwa i najbardziej zależało na tym, by go wychować w duchu solidaryzmu społecznego.

W taki więc sposób zapewniali sobie grupa kulaków — ludowców panowanie nad wiciarzami. O to panowanie trwała jednak walka. Walka ta toczyła się na dwa fronty. Jednym wrogiem była endecja i plebania, usiłujące odebrać ludowcom młodzież. Księża ostro atakowali wicjarzy, a nawet odmawiali ich rodzicom rozgrzeszenia (ks. Studziński w 1933, odmówił rozgrzeszenia matce Zbudniwka). W tradycji starych wiciarzy pamiętna jest długotrwała walka o sztandar młodzieżowy, ufundowany przez „Siew”. Sztandar ten tradycyjnie nosili na procesjach wicjarzy. W ostatnich latach przed wojną młodzież KSM-owa rozpoczęła walkę o odebranie wiciarzom sztandaru. Walkę, w której ksiądz wyraźnie zaangażował się przeciw wiciarzom zakazując im dopiero zaginięcie sztandaru. Niewątpliwie ta wroga postawa plebanii wpływała osłabiająco na oddziaływanie „Wici” na resztę młodzieży. Dokonywała się pewnego rodzaju izolacja wiciarzy we wsi. Proces ten zapoczątkowany w latach tworzenia Akcji Katolickiej (1937—1939) miał niewątpliwie widoki powodzenia. Przerwany został wybuchem wojny i zupełną zmianą układu stosunków politycznych we wsi.

Poza tym wrogiem mieli kulacy wroga drugiego, bez porównania groźniejszego. Wrogiem tym była grupa biedniackiej i średniackiej młodzieży wyróżniającej się większą świadomością polityczną i przywiązaniem do niezależności. W dużej mierze dzięki tej grupie możliwym się stało, że w 1928 r. gdy dokonano się oderwanie „Wici” od Koła Rolniczych, koło godzianowskie bez wahania stanęło na platformie warszawskiego zjazdu wiciowego.

Ta lewa grupa, do której należeli Józef Moza, Franciszek Meszka i inni pracowała w niezwykle trudnej sytuacji. Godzianów odcity był od jakichkolwiek wpływów lewicowych z zewnątrz. W powiecie nie istniał powiatowy zarząd „Wici”. Jedynie 4 koła wiciowe w powiecie (Godzianów, Lipce Reymontowskie, Wola Drzewiecka i Słomków) połączone były w tak zwany związek sąsiedzkim. Ten związek sąsiedzki był jedynym przewodnikiem wpływów ideologicznych i organizacyjnych z innych ośrodków „Wici”. Niewątpliwie bardzo pobudzającą na Godzianów działą bliski kontakt z młodzieżą z Lipiec i Woli Drzewieckiej. Są to biedniackie wsie, mające o wiele bardziej radykalne tradycje wiciowe niż Godzianów. Organizacja wiciowa w tych wsiach miała kontakt z „Wiciami” łowickimi. W powiecie łowickim „Wici” zajmowały wyraźne radykalną postawę, na co decydująco wpływał fakt, że w powiecie istniała grupa wiciarzy, należących do Komunistycznej Partii Polski. Ta sytuacja w pobliskich ośrodkach wiciowych była pomocą dla wiciarzy godzianowskich — niestety pomocą słabą i bardzo niewystarczającą.

Do Godzianowa nie docierała prasa komunistyczna. Nie docierały żadne postępowe pisma polityczne, poza „Wyzwoleniem” i „Wolnym Słowem”. Przed wojną do biedniackiego czynu chłopskiego w Godzianowie nie doszło. Ale wbrew przeszkodom stawianym przez potężny obóz kulacki zaczynały rodzić się pierwsze rewolucyjne myśli, zaczynały się dyskusje wychodzące poza wąskie agrarystyczne podwórko.

Objawy tego wżenia wśród wiciarskiej młodzieży ukazywały się w czasie strajku chłopskiego w 1937 r. Ludowcy — zgodnie ze stanowiskiem Stronnictwa — wzięli udział w strajku. Ale kulacy działacze — przede wszystkim Jagielski — stąpili w Godzianowie (podobnie było i gdzieś indziej) ostrze strajku. Postawiono zasadę niespreczewiania się łamistrakom. Jedynie wicjarze godzianowscy — za przykładem dużo bardziej radykalnie występujących wicjarzy lipieckich — podjęli patrolowanie dróg, rozpoczęli szeroką agitację i w ten sposób operali się próbą łamania strajku.

c. d. n.

Jerzy Wiatr

MICHAŁ ISAKOWSKI

SPÓDNIKA

(Opowiadanie kolchoźnicy Marusi, zanotowane prawie stenograficznie)

Jak tam z robotą? To jasne, że robie, Mnie, komсомолке, pytasz? Widzicie, spódnice mam nową na sobie — Jak z igły, dopiero uszyła.

Dotknie, popatrzy — dziwuje się człowiek — Odswieżna, piękna i trwała. Takiej spódnicy, prawdę wam powiem, Od urodzenia nie miałam.

Ze głupstwa gadam — proszę nie myślcie — Nie chwalcę się, weźcie na rozum: Przecież mi wydał ją ośobiście Przewodniczący kolchozu.

Wieczorem, pamiętam, zeszła się gromada W komplecie całe gniazdko. — A no, podejdź tu bliżej — powiada — Nasza kolchozowa entuzjastko!

Fala gorąca mnie nagle oblała, Lecz zbliżam się z ostrożnością... — Zawsze — powiada — Marusia umiała Podejść do pracy z miłością.

Chłopców i dziewcząt wyprzedza. Rękami Nie wymachuje zgola. I my — powiada — przed nią schylamy Chwałą okryte czoła.

Za sukces w pracy jej dać upominek Dla nas — powiada — nie strata. Niech będzie najelegantszą dziewczyna, I niech każdy chłop za nią lata!

A potem ojczyznę opisał nam całą Czasy stare i nowe. I tak jakoś wyszło, że mnie wypadło Odpowiedź dać w kilku słowach.

A jakąż odpowiedź Wymyślić tu właśnie — Gdy prosta dziewczyna Ma lat siedemnaście?

Więc stoję przed nimi i coś w gardle szarpie, Jak gdybym język straciła. I nie od razu znalazłam się. Najpierw Swą wdzięczność im wyraziłem.

A potem nabrałam śmiałości, by rzec tak: (I poszło mi lepiej i składniej) — No cóż, towarzysze, chce władza radziecka, By każdy ubierał się ładnie.

Więc trzeba rzetelnie do pracy się włączyć. Kolchozów strzec, leniów nie głaskać... A jednak nie dali mi mowy dokończyć I głośno zaczęli klaskać.

A potem — zabawa; tańczyliśmy z hukiem, W gromadzie śpiewaliśmy bratniej: Fotograf zdejmował mnie wprost i na ukos — I wszystko zupełnie bezpłatnie.

Powiedział, że przysłał mi portret-poemat, Bo zuch z ciebie, mówił, dziewczyno. Czas mija, a zdjęcia jak nie ma, tak nie ma — Na pewno list w drodze zaginął.

(1934).

Tłumaczył WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

A. J. MARKIEWICZ

BEZ OJCZYŹNY*)

15

kwiędnia 1918 roku zasrajkowała kopalnia „Ewald”. Na ulice wysypały się tłum robotników. Wznoszono okrzyki przeciw wojnie i cesarzowi, wyrażano baronów węglowym. Dopiero silny oddział konnej żandarmerii rozproszył demonstrantów. Były aresztowania... Ale na słupach pojawiały się coraz częściej plakaty nawołujące do zaprzestania bezsensownej wojny, czyjeś piezane ręce kreśliły smogłą i farbą na troluarach i murach domów państwowych napisy w rodzaju: „Gleiche Löhne, gleiches Essen, wär der Krieg schon längst vergessen”, co w tłumaczeniu na polski oznaczało: „Równa płaca, równe jedzenie, wojna poszłaby dawno w zapomnienie”.

Nadeszła jesień 1918 roku. W listopadzie wrócił ojciec. Wojna była skończona.

„Dzielnosc, karnosc, tegie ramie
Kazdy Sokol musi miec,
Za wytrwalosc i jego znanie
I swiadomosc, czego chce.
Gdy Ojczyzna, kraj zawola
Do pomocy wezmą cie
Staniesz tunciem bracia Sokola,
Sokol w Orla zmieni sie”.

Tylekroć spiewane przez nas słowa piosenki miały się sprawdzić. W polskim Związku Zawodowym Górników „Zjednoczenie” dyskutowano teraz wyłącznie na temat mającej nastąpić opcji. Czytano głośno gazety donoszące o obradach w Wersalu organizowano komitety...

W „Sokole” pracowano jeszcze intensywniej. Powrót do kraju ojczyźnego, do kraju dla wielu dalekiego i niezananego zarazem, urastał wprost do jakiegoś legendarnego pojęcia.

To ożywienie wśród polskiej emigracji robotniczej nie w smak było niektórym hakatystycznym pismakom, wysługującym się kapitalistom węglowym, którzy bali się utraty dobrej i taniej siły robotniczej. Robotnicy niemieccy, górnicy kopalniani, wypróbowani kolezdy wielu wspólnie organizowanych strajków rozumieli nasze nastroje. Pewnie, byli i tacy, którzy bezmyślnie powtarzali kalumnie rzucane przez niektóre gazety niemieckie. To członkowie żółtych związków zawodowych finansowanych przez właścicieli kopalni. Ale ci się nie liczyli.

9 stycznia 1922 roku złożyłem razem z „Głosem” oświadczenie optyczne na rzecz Państwa Polskiego. Dzień wyjazdu do kraju wydawał się być bliski. W domu czyniono przygotowania do powrotu. Aż oto pewnego dnia otrzymaliśmy list z Polski. Pisała siostra matki, Cieszyńska na nasze przybycie, jednocześnie donosiła, że „w kraju teraz trudno o pracę... dużo chodzi bez roboty... nie się nie buduje”.

Matka przestała czytać i spojrziała na ojca. On, jak zwykle w takich wypadkach, gdy szło o jego zdanie długo milczał, wyjął fajkę, nabijał powoli i zaniem zapalił — zawyrokował:

— Wiesz matka myśle, że najlepiej będzie jak ty wpiwiesz pojedziesz do Polski i sama się rozejdziesz, co tam się dzieje... Zawsze co ty, to nie twoja siostra.
— Ja sama, bez ciebie?
— Drobizg zabierzcie ze sobą — wskazał fajkę na Wera, Jana i Teresę.

— A jak wy sobie tutaj...
— Ino się o nic nie martw. Już my sobie z Teosiem damy radę... Zresztą długo tu nie zostaniemy... Skoro nam jeno odpiszesz, że tam w Polsce naszej na kromkę chleba zarobimy, tak my zaraz „manaszkę pod paszki” i raz dwa, będziemy u ciebie...

Dwa miesiące minęły od wyjazdu matki, a wiadomości żadnej nie było. Pracowałem teraz razem z ojcem jako rebasec. Codziennie wychodziliśmy rano do pracy i wracaliśmy wieczorem do domu. Jeszcze przed rokiem pracowaliśmy przy koniach, które z pochylni wyciągały wózki z węglem. Pokochałem tamte i zarazem biedne zwierzęta. I one mnie polubiły. Ich przyjaźń łatwiej zdobyłem, niż przyjaźń niejednego człowieka.

W marcu nadszedł list. Z daleka świeciła różowa koperta wciśnięta w szparę drzwi... Weszliśmy do mieszkania. Ojciec, nie zdejmując czapki, podszedł do stołu i zapalił naftową lampę. Widziałem, jak drżała mu ręka, gdy rozciął kuchennym nożem kopertę. Złożył na nos okulary, rozwinął biały arkusz papieru i nagle mi go podał:

— Weź, przeczytaj.
„Niech będzie pochwalony!
Drogi Janku i mój kochany Teosiu!

Zapewne czekacie już z niecierpliwością na mój list. Ale widziacie nie układało się jakoś przedziwnie. Wera traciła chorobą i w ogóle dzieciaki jakoś nie czuły się dobrze po tej podróży. Jechali my dwadzieścia jeden godzin. W Ber-

linie przegapiłam pociąg i tak musiałem my czekać trzy godziny na drugi... Teraz to już Bogu dzięki wszystko znowu dobrze. Wszyscy jesteśmy przy zdrowiu, czego i wam z całego serca życzymy... Tu się bardzo ucieszyli, gdyśmy przyjechali i każą was pięknie pozdrawiać...”

— A o pracy nie ma?
— Zaraz, ojcze... „Oglądałam się za robotą. Byłam w Paulinach i Dabrowie. Wszędzie to samo. Kto ma robotę, ten jej się trzyma mocno pazurami, bo jest dużo bezrobotnych. Gadają, że z wiosną pewnie roboty ruszy, ale kto tam wie... Tu, w Polsce chodzi teraz wiele takich, co nie nie robią, jeno komanderują. Grosza mają dużo, na wszystko mogą sobie pozwolić... Może jeszcze trochę zczekacie z przyjazdem. Jak co będzie, to wam zaraz napiszę...”

29 kwietnia 1922 roku po raz ostatni opuściłem z ojcem szyb kopalni „Ewald” w Hertem. Emigracja westwalska była skończona — Zaczynał się nowy etap tułaczki za chlebem. Nazwa jego brzmiała: Francja...

Dnia 15 kwietnia 1928 roku przyniosły poranne gazety wzmiankę o katastrofie w kopalni „Marles Mines”. Czytelnicy prawniczych pism jak „Le Jour”, „Le Journal” zapewne niewiele mogli się dowiedzieć o rozmiarach katastrofy. Jedynie „L’Humanité”, „Le Soir” i inne postępowe dzienniki informowały obszernie o rozmiarach katastrofy, nie szczędząc słów surowej krytyki.

Jednym z piętnastu rannych o których pisała gazeta byłem ja. Miałem zgniecione plecy i złamane lewe ramię. Moje leczenie trwało bardzo długo.

Z początku interesowano się żywo rannymi, oraz rodzinami po zabitych górnikach. Przyjeżdżały nawet specjalne komisje z Paryża. Przez kilka dni uwiły się w wąskich uliczkach Auchel bieszczące, zwinne limuzyny... Po tygodniu zainteresowanie znacznie opadło, a po dwóch ustalo niemal zupełnie. „Le Soir” nie doczekał się żadnych wyjaśnień. Gadano wprawdzie w Auchel, że dyrektor Blanc zostanie odwołany pod sąd, potem mówiono już tylko o jakimś przeniesieniu karnym do innego ośrodka górniczego, aż wreszcie przestano o nim całkiem mówić. Komisja lekarska przed którą się stawilem orzekła, że jestem niezdolny do pracy w górnictwie co najmniej na okres dwóch lat. Oznaczało to w praktyce skazanie mojej osoby na życie głodoma.

Z ciężkiej sytuacji wyratował mnie znowu Morice Bouillon. Dowiedział się, że zakłady samochodowe „Renault” w Boulogne-Billancourt zatrudnią natychmiast kilku robotników.

— Znasz dobrze francuski, sprytny jesteś. Dasz sobie radę — orzekł Morice. Pojechałem do Billancourt i zostałem przyjęty.

Moje przyjęcie zawdzięczałem przypadkowej protekcji majstra, nazwiskiem Charles le Longes, który darzył szczególną sympatią Polaków.

Za jego przyczyną również dostałem się do Szkoły Metalowców w Paryżu, po której ukończeniu pracowałem w Zakładach Samochodowych „Renault” w charakterze kontrolera technicznego.

1 października 1934 roku zostałem bezwarunkowo zwolniony za moją przynależność do Komunistycznej Partii Francji, do której Polakom nie wolno należeć.

Postanowiłem wyjechać do Polski...

Nie opiszę tych wzruszeń, które mi towarzyszyły w drodze do kraju bliskiego, drogiego i niezananego zarazem. Oto za kilka godzin ujrę ojczyznę mego ojca, którą opisałem przed 35 laty, jadąc do dalekiej Westfalii za kromką czarnego chleba... Wnet obaj przywitam matkę i rodzeństwo, z którymi się nie widziałem od roku 1922.

Dojeżdżamy właśnie do granicy polsko - niemieckiej... Urzędnik bada moją walizkę...

Po chwili pociąg znowu rusza. Ten biały domek, który wolno odplywa za oknem wagonu, to domek polskiego strażnika. Widać już Polskę.

Jakaś pani z przedziału poznaje po akcentach, że przyjeżdżam z zagranicy:

— Pan z Niemiec?
— Nie, z Francji.
— Pewnie w odwiedziny.
— Nie, przyjeżdżam na stałe.
— Pan chyba żartuje, — albo przywozi pan ze sobą dużo pieniędzy.

— Nie dorobiłem się.
— Jak to? Przecież Francja to taki bogaty kraj. Moja ciotka...

— Znam też bogatych ludzi we Francji. Większość, to tacy jak ja. Pani jest obrażona. Wyjujcie książkę i odwraca się do mnie plecami. Z za okna widać już ośnienione pola i drzewa. Chalupa przykucnęła w śniegu i bawia się w sukienkę.

Jeszcze trzy stacje, jeszcze dwie... Pociąg zwalnia... Most nad rzeką

dudni głucho. Ta rzeka nazywa się Brda.

W domu nie nie wiedzą o moim przyjeździe. Pukam do drzwi. Cisza. Po chwili dopiero słyszę kroki i zgrzyt klucza w zamku. Wielkie zdziwienie. Ale to trwa krótko.

— Teoś!
— Mamo!

W walizce znajdują się jakieś tanie prezenty dla każdego. Potem długo w noc trzeba opowiadać wszystkim o pracy, kolegach, wypadkach. Najwięcej żalu wywołuje pamięć ojca i jego śmierć. Wreszcie pada pytanie: „Co będziesz tu robił?”

Czy ja wiem? Może się poszczęści. Wpierw trzeba się rozejrzeć, poznać warunki, ludzi...

Po roku wiem już dokładnie, że były tylko złudzenia. Od utworzonego przeze mnie Związku Reemigrantów, aż do interwencji u prezydenta miasta, zakończonych palkami policjantów. Rzeczywistość, to: praca raz na tydzień, porcja zupy na Rybim Ryнку, złotówka zarobiona przygodnie za zamiatanie śniegu, lub za wyrzeganie dywanu z narąbaniem drzewa na opał dla „wielmożnej pani”. Rzeczywi-



Rys. St. Gierowski

STANISŁAW PIĘTAK

LEKCJA

Było już prawie ciemno, a Franek Papacz jeszcze uczył się lekcji, siedząc z podwiniętymi nogami pod rozłożystym orzechem w sadzie. Świat cyfr, dat i zagadnień tak bez reszty go pochłoniął, że oderwał się od kart książki dopiero wtedy, gdy zgłoszono, że mu się zlewa w płamy przed oczyma.

Oszolomiony z głową rozpaloną od długotrwałego uczenia się, podniósł się z murawy i stwierdził, że już dawno jest po zachodzie słońca. Po obrachach słyszał było stłumiony ryk bydlę, od wsi dolatywały odgłosy samotnie przez kogoś spiewanej piosenki, wozy turkoczącejechały do miasta, słychać było rozmowę i śmiech ludzi.

— Noc już, patrzcie — westchnął i wzięwszy książkę i zeszyty pod pachę skierował się do domu. W pokoju już się świeciło, lecz tam nie udał się, wstąpił do kuchni.

— Coż ty sobie myślisz, kolację mam specjalnie dla ciebie gotować — szepnęła matka. Miała zmęczone, podbite oczy. Chorowała od roku na nogi, nie mogła chodzić.

Daj garuszek mleka, wystarczy — powiedział i rozłożywszy znowu książkę próbował z powrotem czytać.

Podniesiony głos ojca zatrząsnął go jednak, wstał i zbliżył się do oszklonych drzwi, które prowadziły do pokoju.

W mieszkaniu byli niecodzienni goście. Za stołem siedział oparty Chochowski Marcin, przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej gdzieś na zachodzie, przyjechał na pogrzeb matki swojej i przebywał od kilku dni we wsi — obok niego zaś przykuł na krześle przesadnie uśmiechnięty Piotr Jarząbek, przedwojenny ułoj, jeden z bogatszych miejscowych chłopów. Ojciec stał naprzeciw nich pod piecem i pięść zacisniętą trzymał przed pierśią.

— Ale dlaczego ty się tak sprzeciwiasz? Do diabła, ty masz zaledwie pięć morgi ziemi — tłumaczył poważnie i spokojnie Chochowski.

— Nie mówiliby, gdyby tak się stawał sztorcem Pietrek. Jemu może być już załóż dziesięć hektarów. — Siedem, Marcinu, mam teraz, siedem. Trzy dalem przecież Zosie, gdy szła za Piskora — chichotał Jarząbek. Mate jego oczka biegały tu i tam spłoszone. — Ja jednak nie jestem kontra, ja przystaję, jak zażądacie potrzeba.

— Zrozumi, człowieku, przy dzisiejszych możliwościach technicznych takie rozdrobnienie gospodarstwa jest niemożliwe — mówił dalej Chochowski i powoli podnosił szklankę piwa do ust. — Spółdzielczość zwycięży, bo takie jest prawo życia.

— Ja właśnie zawsze to samo mu gadam — utracił się Jarząbek. — Razem też będzie nam dobrze, a jakie. Zależy tylko, kto będzie wtedy naszą rzadził. Psiakrew, brakuje nam tu ciebie, Marcinu.

A ja nie oddam pola — rąbnął się w odkrytą pierś wysoki Papacz, twarz mu pobiadała. — Spale, zniszcz, pójdę na kraj świata, a nie dam...

— Jasiu, zwiariowałeś, więc ma być ta cholerna bida, w jakiej żyliśmy przez tyle lat...

BRONISŁAW SZMIDT

DZIECIŃSTWO*)

Do naszego domu zaczęli przychodzić towarzysze ojca, zwłaszcza zimą, bo wtenczas nie było roboty. Siadywali przy piecu w kuchni, na skrzynce od

węgla, na ławce i gadali. Nie bardzo wtenczas rozumiałem to ich gadanie, zresztą wypędzono mnie spać. Ale słuchałem z zainteresowaniem i przejęciem. Jan Andrzej Buda zaczął opowiadać o kopalni we Francji, w których pracował dwadzieścia lat, wtedy walciałem się w najciemniejszy kąt, licząc, że zapomnę o nim i pozwolę jeszcze siedzieć i słuchać. W domu było ciemno, bo nafta się skończyła, a na nową kwaterek groszaków nie starczyło. Tylko przez kregi żelaznego pieca płańce drewna rzucały na ścianę migotliwe, drżące światło. Pamiętam, że podczas jednego takiego wieczoru zasnąłem i spałem z ławki prosto na gorący piec...

Pewnego dnia, gdy ojciec z Budą i Cielochem czytali gazetę, przysła do nas babka. Ponieważ nie lubili się z ojcem i nigdy z sobą nie rozmawiali (babka nie mogła mu do końca życia wybaczyć niewiary w siłę nowenn), babka rozmawiała z matką. Obydwe były zajęte leżącą w kołysce siostrzyczką, która nam nie dawno przybyła. Ale babka drugim uchem pilnie słuchała, co też rozmawiają z sobą ojciec i towarzysze. Ci tymczasem prowadzili dyskusję wywołaną, zdaje się, artykułem w gazecie.

Chodziło o proboszcza z naszego miasteczka. Z rozmów starszych zasłyszałem, że „chla po knajpach, jak „pierwszy lepszy pijak”. Buda westchnął: — Kiedy wreszcie ci ludzie zmądrzeją i nie pozwolą się ogłupiać z tej ambony... Ja bym... — nie dokończył, bo do dyskusji wmszała się babka. Zaskoczyło to wszystkich. — Wstyd, tak bluźnić — zawołała fanatycznym głosem. — I w domu mojej córki... Matka milczała zmieszana. Ojciec popatrzył ponuro na babkę: — Co was to obchodzi! To jest mój dom i moją moją córkę, co się nam podoba! Tutaj już matka poczuła się zobowiązana do zabrania głosu. Doszłoby do porządnej kłótni. Ale Cieloch zaczął miłogować. — Tacyście starzy (zwrócił się do babki), a tacy głupi... Wiercie sobie, jak wam tak dobrze, ale nie dajcie się nabierać... Obiecują wam szczęście w niebie, a coście mieli z waszego życia? — Babka przeżegnała się. A potem zatkęła uszy: — Co za antychrysty... innych argumentów nie miała. Rozplakała się głośno. Potem już do nas nie chodziła i przestała się modlić za ojca.

Nadszedł rok 1933, Rok, który obfitował w wiele ważnych dla mnie wydarzeń. Przede wszystkim zacząłem chodzić do szkoły. Jak się tam w pierwszych latach uczyłem nie pamiętam, wówczas mnie to jeszcze nie obchodziło, ale pewnie nie najgorzej, bo matka przychodziła zadawalona z wywiadówek. W tym roku, niestety nie pamiętam dokładnie porby, lecz zdaje się, że na jesieni, odbyły się w miasteczku wybory do Rady Miejskiej. Ojciec kandydował na „radnego. Odczuliśmy to już w niedługim czasie.

Przychodził od roboty wściekły i ponury. Niezabitowski urządził mu awanturę każdego dnia. Czy pracował gorzej? — Nie. Ale brat Niezabitowskiego był kontrkandydatem ojca. Ten Niezabitowski posiadał również folwark w miasteczku, oraz dzierżawił wielki młyn, obsługujący połowę wsi całego powiatu. Matka coraz częściej pytała ojca: — A jak przejdiesz to ci wypowiadają... — Zobaczymy — odmrukiwał hardo.

Niezabitowskiemu rzeczywiście groziła przegrana. Ojciec był popularny wśród miasteczkowego proletariatu, znali go przecież dobrze. Razem pracowali w cegielni, potem przy budowie cukrowni. Tutaj wyrósł i tutaj się ożenił. Wiece obydwały się często. Znam je z późniejszych relacji ciotki, która nie opuszczała żadnego. — Cholerny komunista z tego Henryka, — to było jej zdanie o ojcu, zdanie pełne uznania. — Ten przynajmniej wszystko wygarnie tym bruchałom...

W niedzielę tygodnia poprzedzającego dzień wyborów ojciec poszedł do fryzjera, aby się ogolił. Przyszedł niedługo potem do domu. — Wyniosłem Madeję na pasku na ulicę... — powiedział do matki. Później się dowiedziałem, jak się sprawa miała. Otóż ojciec przyszedł do „Głuchego” — tak nazywano fryzjera i czekał swojej kolejki. Po nim przyszedł komendant policji,

wysoki, chudy — stąd przezywany przez dzieciarnię „Gibkim”. Madeja był w miasteczku już dobre kilka lat, znał więc wszystkich jak lyse konie. Znal i jego. Z ojcem to nawet rozmawiali od czasu do czasu. Zнали się z wieców, na które Madeja przychodził „z urzędu”. Atmosfera przedwyborcza wpłynęła bojowo na Madeję. Zaczął rozmowę z ojcem o polityce. A ojcu w to grał. Zaczął wygarniać swoje racje, chętnie to czynił zwłaszcza, że potrafił. Od słowa do słowa, doszło do sprzeczki. Madeja jej szukał. — A nuż znajdzie się okazja, żeby tego komunista zamknąć — endecy kontrkandydaci byłiby pewnie uradowani, pilsudczycy chyba też nie mniej. Doszło do tego, że zaczął ojca popychać. Ten, nie wiele myśląc, odpiął szeroki pas, który nosił przy spodniach, opasał nim wpił Madeję, zarzucił wierzgającego na ramię, otworzył kapniakiem drzwi i wyniósł na ulicę... Potem wrócił do fryzjera. Madeja za nim. Nie ulegał wątpliwości, że w oczach miasteczka jest skompromitowany raz na zawsze. Co uczynić? — Najlepiej obrócić wszystko w żart...

Po południu miał się odbyć wielki wiec. Policja nie pozwoliła na zorganizowanie go na rynku. Trzeba było było dusić w małej salce restauratora Zielenki. Ludzie stali nawet w bramie. Tego samego południa i o tym samym czasie księża urządzili wielką manifestację religijną... tłumy starszych kobiet oblegały kolegiatę... „My chcemy Boga” — zaintonował proboszcz wiecznie zachrypłym basem...

Na drugi dzień wielu tych samych ludzi sterczało po kilkanaście godzin w długiej kolejce przed „Bezrobotniemi”, jak nazywano wówczas Urząd Zatrudnienia... Stali na ulicy... do środka nie wpuszczano, aby nie robić awantur... Z gołych konarów potężnych lip, stojących wzdłuż ulicy, kapaly na głowy i grzbiety kropie wytrwałego, jesienno deszczu. Ludzie kłękali, ale czekali. Bony na chleb wydawano dopiero po odstemplowaniu wszystkich książeczek rejestracyjnych, a pan Mucha nie śpieszył się z tą robotą. m'mo, że dostał już od kilku krewkich kobiet drewniakami po głowie. Kobiety zabierała policja, a pan Mucha wymyślał nowe sposoby dreczenia czekających.

Ludzie czekali, nikt się temu nie dziwił... szło tak przecież każdego roku. Latem podpierali mury rynkowych domów, słońce świeciło, można nawet zapomnieć o głodzie. Zimą, wieczorem, szło się nad tory kolejowe. Pod pachą mieny worek. Przy wjeździe na stację pociąg towarowy musiał zważniać. Było ciemno. Zasypany śniegiem węgiel wyslizgiwał się z rąk. Ale dzieciaki w domu marzyły więc trzeba...

I tak codziennie przez większą ilość dni w roku.

Ojciec mój został radnym, m'ej-skim. Nie na długo. Na stycznia dostał terminalną. Niezabitowski nie zawiedli oczekiwania matki. Zaczęły się poszukiwania pracy. Ale upłynął miesiąc jeden, drugi, a tu nic. Kazano składać wnioski, ale Niezabitowski wszędzie trafil. — Komunista! — na to słowo zamykały się przed ojcem drzwi. — Potrzebujemy ludzi do roboty, nie do polityki, — to była najczęstsza odpowiedź. — Żeby to było lato, poszedłbym do roboty na wały, mawiał ojciec. — Wały... w ogólnym pojęciu była to najgorsza robota, jaką można sobie wyobrazić. Pracował tam ojcowscy kolezdy. Kłękł na czym świat stoi, Placa niedna, a robota przy budowie wałów przeciwpowodziowych ciężka. Widziało się kilku takich w miasteczku. Chodzili przysgarbieni, pluli krwią. Na wałach robił mawiano. Tymczasem bieda walciała się do domu z każdym dniem natchalnie. Matka sprzedawała suknie. Starczyło na parę dni, a potem znowu bieda. Nie obca była ona dotychczas. Zarobek ojca zapewniał jednak minimum. Teraz znikły nawet cienkie skibki chleba, wydzielane oszczędnie przez matkę. Rano, w południe i wieczór, dzień w dzień pojawiały się na stole „ślepe ryby” okraszane kopyścią lub pyrką z solą.

W tym też czasie wszedł ojciec w konflikt ze swoimi pepesowcami. Przestał czytać „Robotnika”, przestał nad nim przeklinać. Przyszedł kiedyś Cieloch. Siadł zmęczony na swoim zwykłym miejscu przy piecu.

— Tumania nas cholery, z pilsudczykami się wachają...

Bronisław Szmidt

*) Fragment wspomnień robotniczych nadesłanych na konkurs Polskiego Radia i PIU-u.

*) Fragment pamiętnika nadesłanego na konkurs Polskiego Radia i PIU-u.

Stanisław Pięta

K. R. ZAWADZKI

OWOCE ZDRADY

Kierownictwo angielskiej Partii Pracy spożywa dziś w postaci kłeski wyborczej nic innego jak owoce zdrady interesów angielskiego świata pracy.

Ideologiczny gulasz, ochrzczony przez Attlee, Bevin, Morrisona i S-kę mianem „demokratycznego socjalizmu”, w rzeczywistości jest obłudną demagogią, mającą zadanie zamaskować arcyreakcyjną, imperialistyczną treść polityki labourystowskiej.

Nie jest on zresztą oryginalnym tworem kierownictwa Labour Party, a tylko pawlarskim na nową nutę, ograny, aż do znudzenia refrenem reformistycznych melodii, potępiających od przeszło 50 lat postęp i rewolucję, a broniących kapitalizmu. Co więcej, Zestawienie i dokładniejsze porównanie programowych dokumentów Labour Party, a w szczególności mglistych programów wyborczych z roku 1945, 1950 i 1951, wykazuje zdumiewające ideowe pokrewieństwo z programowymi przemówieniami... hitlerowców przed... 1933 rokiem.

Kosmopolityczna gadanina o „zjednoczonej Europie”, o „międzynarodowym planowaniu” miała służyć jako dymna zasłona politycznych, oraz gospodarczych przygotowań anglo-amerykańskiego imperializmu do III wojny przeciwko krajom postępu, do podboju i panowania nad światem, do uciemnienia i wzmocnienia eksploatacji kolonialnych.

Polityka rządów Labour Party była tym samym kontynuacją imperialistycznej polityki zagranicznej konserwatystów Neville Chamberlaina i Winstona Churchilla. Przysięszala ona wskutek tego procesy gnójne i pogłębiała kryzys monopolistycznej ekonomiki angielskiej. Działło się tak chociażby dla tego, że tzw. labourystowska „nacionalizacja i planowanie” oparte były na teoriach czolowych ekonomistów gnijącego kapitalizmu: Keynasa i Beveridgea. Zresztą nawet i te „socjalistyczne zdobycze” Labour Party od dawna już były planowane i opracowywane przez konserwatystów. W latach 1918 — 1944 zaprojektowali oni bowiem (przeprowadzona ostatnio przez rząd Attlee-Bevina) nacionalizację niektórych gałęzi przemysłu.

I tak (w roku 1918) Winstona Churchilla zalecał nacionalizację kolei żelaznych, Harold Mac Millan (w roku 1938) proponował przeprowadzenie nacionalizacji przemysłu węglowego, Geoffrey Hayworth (w roku 1944) agitował za nacionalizacją zakładów gazowych. Prawicowi liderzy Labour Party podjęli zaś te projekty tylko po to, aby zareklamować przed wyborami 1945 roku swój pseudosocjalistyczny program. Labourystowska „nacionalizacja” doprowadziła jednak do powstania szeregu państwowo-monopolistycznych przedsiębiorstw, a ponadto odbarzyła wywłaszczonych monopolistów — właścicieli nierentownych, zacofanych technicznie zakładów gałęzi przemysłu, młotownymi odszkodowaniami, oraz intrygantym posadami dyrektorów.

Po wielkim zwycięstwie Związku Radzieckiego labourystowskie chorągiewki anglo-amerykańskiego imperializmu, stojące się w tożym przyjaźni ZSRR, przeprowadziły w roku 1945 kolejny oszukańczy manewr. Obiecywali oni: zlikwidowanie impasu w dziedzinie ekonomicznej, poprawę sytuacji mas robotniczych, likwidację władzy monopolu, oraz wzmocnienie sojuszu z ZSRR i utrzymanie pokoju. Oszustwo to pzwoliło im uzyskać przytłaczającą większość w wyborach 1945 roku. Nie przeszkodziło to jednak kierownictwu Labour Party (w kilka zaledwie lat później) poprzeć słynny program Churchilla (przemówienie w Fulton), podjąć się roli organizatorów agresywnych bloków, oraz heroldów „krucjaty” przeciwko ZSRR i krajom Demokracji Ludowej. Tym samym rząd Labour Party sprzeniewierzył się duchowi i postanowieniom anglo-radzieckiego sojuszu z 1942 roku.

Sabotowanie układu Poczdamskiego, udział w Związku Zachodnim i Pakcie Atlantycznym, dobrowolne podporządkowanie się amerykańskiemu dyktatowi, chociażby w sprawach remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, Japonii, zwałczanie zasad międzynarodowej współpracy i bezpieczeństwa, akty bezpośredniej interwencji zbrojnej i agresji, popieranie niedobitków faszyzmu, eksploatacja i ciemnienie narodów, walka z ruchami narodowo-wyzwoleńczymi Azji i Afryki — oto sprzeczna z deklaracjami wyborczymi, zbrodnica treść polityki zagranicznej Labour Party. Wobec tych nieodpartych faktów, wobec ogromu zbrodni popełnionych w Grecji, na Malajach, w Korei, w Iranie, w Egipcie i w innych krajach, jakże nędznie wyglądają Attlee i Morrison pozujący na zwolenników pokoju i demokracji.

Wbrew jednak wysiłkom monopolistów City, wbrew zaprzastwu i służalczości liderów Labour Party operacyjny obszar dla reakcyjnych, imperialistycznych mane-

wrów zmalował jednak katastrofalnie. Nad politycznym horyzontem Wielkiej Brytanii zawisł groźny cień walk klasowych i narodowo-wyzwoleńczych. W obronie zagrożonych pozycji i przywilejów City monopolistów czują się więc zmuszeni do zastosowanie faszystowskich metod przeciwko masom robotniczym, oraz narodom kolonialnym. Tym bardziej, że te ostatnie poczynają zdawać sobie coraz lepiej sprawę, że jedyną drogą, prowadzącą do wolności narodowej, politycznej i ekonomicznej jest bezpośrednia walka z siłami monopolistycznego kapitału, któremu wiernie służyło i służy nadal reakcyjne kierownictwo Labour Party.

Agresywny antynarodowy kurs rządu Attlee, będącego u władzy przeszło 6 lat, szkodził bowiem najżywniejszym interesom angielskich mas pracujących. Anglia uginą się dziś pod przytłaczającym brzemieniem marszalczy, oraz wysiłku zbrojeń. Dumny ongiś Albion gra od lat ponizającą rolę „młodszego partnera” w amerykańskim Bloku Atlantycznym.

W 6 lat od zakończenia wojny angielski robotnik otrzymuje po dawnemu wskutek zamrożenia płacy zarobkowej, 5 — 6 funtów na tydzień. Tymczasem koszty utrzymania (wg danych oficjalnych) wzrosły od czerwca 1950 roku do czerwca 1951 roku o 25 proc. A jednocześnie wg tychże danych, zyski 1700 największych brytyjskich firm wzrosły w przeciągu tegoż samego roku od 640.000.000 do 783.000.000 funtów sterlingów!

Zima 1951-1952 roku zapowiedzia się, sądząc z wynurzeń prasy zarówno konserwatywnej jak i labourystowskiej, jeszcze bardziej ponuro. Ma to być pod względem gospodarczym „najsurowsza” zima po wojnie. Kryzys doarowy, kryzys opałowy, kryzys transportowy, kryzys handlu zagranicznego, kryzys surowcowy, kryzys w Iranie i w Egipcie — oto żałosne rezultaty rządów Attlee i S-ki.

Kierownictwo Labour Party żywiło jeszcze pewne nadzieje na hojność bogatego wujuszka zą oceanu. Pielgrzymka Morrisona i Gaitskella (ministra finansów) do Waszyngtonu zakończyła się jednak żałosnym fiaskiem. Obaj panowie wrócili z USA... z pustymi rękami. Zdesperowany Gaitskell zmuszony był wobec tego oświadczyć, że Anglię czeka kryzys i katastrofa finansowa. Szczęście dla „była” zresztą całkowicie uzasadnione! Zaecieczny boss warknął bowiem głośnie, że Wielka Brytania musi się zbroić wyłącznie na własny rachunek. 4.700.000.000 funtów sterlingów zaś, przeznaczone przez rząd Attlee na dobrojenie, ocenione zostały przez amerykańskich pretendentów do panowania nad światem jako pierwszy zaledwie etap znacznie większego programu zbrojeń brytyjskich.

Labourystowski premier Attlee znalazł się wobec tego między młotem a kowadłem: z dołu rozczarowanie, gniew i wzburzenie oszukanych mas pracujących, z góry zaś, nacisk bezwzględnych amerykańskich bossów. Kryzys polityki wewnętrznej i zagranicznej zmusił przeto kierownictwo Labour Party do ogłoszenia przedterminowych wyborów: w dniu 25 października 1951 roku. Kadencja obecnego parlamentu upływa jednak dopiero w 1955 roku. Oficjalna motywacja labourystowska powoływała się więc na „nieznaczoną” większość frakcji labourystowskiej w parlamencie (5 mandatów), jako uzasadnienie tej decyzji.

W rzeczywistości jednak kierownictwo Labour Party postanowiło ratować resztki swych wpływów w masach robotniczych, oraz zagłuszyć coraz ostrzejszą krytykę szeregowych członków partii. (Z tych to właśnie względów nawet „rozłomowic” Beven wezwał już swych stronników do połączenia się z „jedynolitym frontem” Attlee).

Labour Party (tak samo zresztą jak i konserwatyści, oraz niedobitki liberalistów) nie mają jednak z czym wystąpić przed wyborcami. Dlatego też przedwyborczy manifest labourystowski, z trudem przeformułowany na kongresie w Scarborough, ma wybitnie demagogiczny charakter. Wystarczy zacytować tytuł tego dokumentu:

„Naszym głównym celem jest pokój, aby przekonać się o obłudzie, ba, o bezwystydm zakłamaniu prawicowego kierownictwa Labour Party. Co więcej, Fakty wskazują na to, że labourystowskie liderzy bojąc się odpowiedzialności, przeżeni wzrostem opozycji w partii i antywojennych nastrojów w kraju, a nie mogąc zmienić swej polityki pragneli skrycie zwycięstwa konserwatystów i przejścia Labour Party do „opozycji”.

Nie przypadkiem też, wybory powszechne do Izby Gmin odbywały się przy akompaniamencie złowrogo echa pękających fundamentów Brytyjskiego Imperium. Wzajemne zaś oskarżenia, niewybredne wyzwiska i dosadne epitetu rzuca-

ne na siebie nawzajem przez obydwa walczące przeciwko sobie partie: konserwatystów (Edena, Lytletona, lorda Wooltona, Maxwella Fyve z jednej), a labourystów (Shinwella, Strachey, Gaitskell z drugiej strony), wszystko to było wyreżyserowane. Między kierownictwem Labour Party, a kierownictwem partii konserwatystów istniał bowiem tylko jeden jedyny punkt sporny: które z nich potrafi lepiej wysługiwać się monopolistom Wall Streetu i City. Z góry więc było wiadome i pewne. Bez względu na taki, lub inny wynik wyborów przyszły rząd nie zmieni, ani o jeden stopień swego kursu politycznego i pójdzie starą, utartą drogą imperializmu: zbrojeń i agresji.

Wyraził to cynicznie Times, pisząc: „Głównym zadaniem przyszłego rządu (bądź konserwatywnego bądź labourystowskiego) będzie realizacja idei Paku Atlantycznego”.

Wyniki wyborów czwartkowych były następujące: konserwatyści uzyskali 320 mandatów, labourysty 293 mandatów, liberalowie 6 mandatów, inni 3 mandaty. Konserwatyści dysponują więc większością 27 mandatów w Izbie Gmin. W związku z porażką wyborczą, Attlee jako ustępujący premier złożył dymsję na ręce króla. Jednocześnie król przyjął lidera konserwatystów, podpalacza świata Nr 1 Winstona Churchilla i powierzył mu misję utworzenia nowego rządu.

Uzyskana przez konserwatystów nieznaczna przewaga (27 mandatów) wskazywała na niepewność, chwiejność sytuacji politycznej w W. Brytanii. Lecz w roku 1950 labourysty uzyskali w Izbie Gmin jeszcze bardziej nieznaczną większość (5 mandatów). Nieprecyzowano więc, że rząd Attlee nie przeżyje nawet trzech miesięcy. Utrzymał się on jednak u władzy około 1,5 roku. Dlaczego? Dlatego, że Churchill i jego stronnictwo popierał w tym „niczym” parlamencie zwalczany rzekomo przez siebie rząd „socjalistów”. Przecież rząd Attlee realizował również jak mógł najlepiej, wprawdzie pod sztydem pseudosocjalistycznym, „atlantyczną” politykę. Dopiero gdy firma Clement Attlee i S-ka znalazła się na granicy bankructwa, to zablokowano jej konto w zaocenicanych bankach. A jednocześnie zwrócono się do konkurencyjnej firmy Winstona Churchilla i S-ki polecając jej (tym razem z otwartą przybitką) wzmocnienie tychże, przygotowań wojennych, przyspieszenie wyścigu zbro-

jeń i spotęgowanie natarcia na stopę życiową mas pracujących.

Pewny więc swego organ monopolistów Wall Street już w kwietniu 1951 roku pisał:

„konserwatyści mogą w przyszłych wyborach śpiewać jako swój hymn piosenkę: „wszystko co zrobione — my zrobimy lepiej”.

Okres wyborów nie zakłócił więc olimpijskiego spokoju monopolistów Wall Streetu. Wiedzano tam bowiem, że po odejściu labourystów, konserwatyści jeszcze lepiej będą służyć interesom USA. Prawicowi zaś labourysty w razie porażki, posługując się opozycyjnym frazeosem i cyniczną demagogią, odpoczną, odzyskają nie szczędząc demagogii i co z utraconych wpływów politycznych, pozostając na wszelką ewentualność w rezerwie Departamentu Stanu USA.

Zwycięstwo konserwatystów, pomimo zakłamanym oświadczeń Churchilla o pokoju, oraz obietnic o podjęciu walki przeciwko drożyznie oznacza jednak wzmocnienie polityki zbrojeń, jeszcze większy wyzysk mas pracujących, całkowite podporządkowanie polityki brytyjskiej Departamentowi Stanu i Pentagonowi. Porażka zaś labourystów wskazuje nie tylko na głęboki ferment i niezadowolenie mas członkowskich z polityki kierownictwa Labour Party, lecz również i ogólną utratę wpływów prawicowego kierownictwa Labour Party w społeczeństwie angielskim. Świadczą o tym „sukcesy” grupy Bevan, która zwiększyła liczbę uzyskanych głosów. Udało się jej bowiem oszukać wielu innych wyborców, wskutek demagogicznej krytyki tempa zbrojeń, oraz napaści na konserwatystów.

W Anglii istnieją jednak siły, które mogą uniemożliwić zsynchronizowaną pracę „dwupartyjnej” masy Churchilla — Attlee. Są to miliony rzesze angielskiego świata pracy.

Kłeski sześciolletnich rządów barbarzyńskich były bowiem surową lekcją dla angielskich mas pracujących. W rezultacie kryzys w Labour Party osiągnął swój szczyt. Masy członkowskie zarówno Partii Pracy jak i związków zawodowych z pewnością zarządzają od swych zdradzieckich przywódców zdane a rachunek z katastroficznych rządów. Prawicowemu kierownictwu Labour Party nie uda się w dalszym ciągu oszukiwać i żerować na łatwowności i nieuwiedomości proletariatu angielskiego.

K. R. Zawadzki

JAN KOPROWSKI

WIERSZE LUBELSKIE

I.

Chodzę znowu po ulicach i wspominam:
tyle dziejów i lat.
Jak nie kochać tego miasta Lublina,
w którym życie,
słońce i wiatr.

Stąd wiodła droga w przyszłość —
najpiękniejsza ze wszystkich dróg.
Do Warszawy, do Łodzi —
przez Wisłę.
Któż by o tym zapomnieć mógł?

Stare domy z uliczek i przedmieść
nowym gmachom podają dłoń.
Tutaj nocą księżycową i we dnie
rośnie życie
tysiącem rąk.

Gdzie w ojczyźnie piękniejsze miejsce?
Które miasto droższe, która wieś?
Tobie moja myśl i serce
i nowa, gorejąca pieśń.

II.

Na tej ziemi łagodnych wzgórz
i podmokłych na przedwiośniu dolin,
strach przed nocą wzbierał i rósł
szumem smukłych przydrożnych topoli.

Na tej ziemi dzieliły miedze —
zgała w oczy niejedna żerdź.
Kto ta miedza przejdzie lub przedziezie,
temu chłopska kłonicja w pierś.

Ziemia w trudzie zasypuje granice,
wilcze doły. W pracy rodzi się dzień.
Rzuca w czerwcu łany pszenicy
dojrzały na drogę cień.

Po tej ziemi jedziemy wiosną,
w czas roztopów i błot.
Patrz, już ziarno z podglebia wyrosło —
ziemia nowy rozwija lot.

III.

Wracać co dzień do miast i siół,
ścierać rosę ze skroni i czoł,
płynąć z prądem Bystrzycy, przez Bug,
iść drogami pośród tyłu dróg;
patrzeć w pola, ogrody, sady,
witać nowe spółdzielcze gromady,
przypominać miejscowości znane:
Gościeradów, Bychawę, Janów,
w Międzyrzeczu odwiedzać domy
bliskich krewnych i dalekich znajomych;
chodząc, chodząc po lubelskiej ziemi
i oglądając oczami swoimi,
jak w trudzie codziennym i prostym
ludzie budują i rosną.

Kształcenie kadr literackich

Jak pisać? — Jak wyrobić sobie indywidualny styl? — oto pytanie, które nurtuje każdego początkującego pisarza. Wątpliwości rodzą się tym poważniejsze, im większą odczuwamy odpowiedzialność wobec literackiego dziedzictwa postępowej przeszłości i zadań obecnej chwili. Poszukiwania prowadzą w głąb wieleolanki doświadczeń. Rozterka rodzi się nie z braku doradców, ale właśnie w chwili stwierdzenia, że każdy wielki pisarz przekazał nam swoje niepowtarzalne artystyczne doświadczenia, a bogactwo różnorodnych wskazań utrudnia odnalezienie młodemu pisarzowi własnej drogi. Dlatego przestrzec należy przed „chłupniczym” poszukiwaniem tajemnic sztuki pisarskiej. Spadek literacki przeszłości, mistrzostwo literatury radzieckiej, to nie jest poradnik, z której można brać „na wyrzutki” tę, lub ową receptę. Jedynie przyswojenie sobie wiadomości w ramach jednolitego systemu, twórcze zaanektowanie już istniejących doświadczeń literackich pozwalają wzbogacić nowy warsztat. Jednym słowem, chodzi tu o marksistowskie przetwarzanie historii literatury i o bolszewicki, aktywny, twórczy stosunek do życia.

Taka koncepcja legła u podstaw słynnego już Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie, który kształci młodych pisarzy. Inicjatorem, założycielem tej jedynnej na świecie w dziedzinie literatury instytucji jest Maksym Gorki. W r. 1934 na Pierwszym Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy wielki pisarz proletariacki powiedział: „Państwo proletariackie musi wychować tysiąc wybitnych „mistrzów literatury” i „inżynierów dusz”. Gorki uważał, że powinno ono podjąć „działalność organizacyjną literatury”.

Instytut powstał. Działalność najpierw jako szkoła wieczorowa. Ogromne dodatnie doświadczenia pozwoliły rozszerzyć zakres zajęć i zorganizować coś w rodzaju wyższego zakładu dla początkujących pisarzy. Znaczenie Instytutu jest dziś wszechzwiązkowe, a nawet wszechświatowe, ponieważ dzieło Gorkiego stanowi pierwszą w historii literatury i pedagogiki marksistowską uczelnię, kształcąca rewolucyjnych proletariackich pisarzy.

Zakres nauczania Instytutu opiera się zasadniczo na programie Wydziału Filologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Istnieją aspirantury, działają seminaria poezji, prozy, krytyki i dramaturgii, jak również twórczości dla dzieci. Powstał dział korespondencyjny, który kształci młodych pisarzy poza Moskwą. Studenci wyższego kursu praktykują w gazetach i czasopiśmie, absolwenci wyjeżdżają na wielkie budowle komunizmu.

Instytut zdobył już ogromne doświadczenie w zakresie wychowania nowych kadr literackich. Dość użyłomnie sobie, że stąd właśnie wyszli powszechnie dziś znani pisarze tacy, jak A. Niedogonow, S. Babajewski, W. Ażajew, S. Michalkow, E. Malcew, A. Koptajewa, N. Biriukow, P. Woronko, M. Łukonin, M. Aligier, L. Olszanin, E. Dolmatowski, S. Wasiljew, A. Jaszyn, L. Skorin i inni. Niekłóty jak Muchtarow, K. Zakow, Emin otrzymali stalnoscie nagrody za rok 1950. Czytelnicy radzieccy z radością witają nowych twórców. Absolwenci Instytutu im. Gorkiego, to członkowie Związku Pisarzy Radzieckich, autorzy poczytnych książek.

A. Makarow w Nr 82 „Literaturnoj Gaziety” publikuje garść informacji, dotyczących najnowszych dyplomantów. Instytut pracuje w skali wszechzwiązkowej, skupia młodych pisarzy ponad czterdziestu narodowości. Pięć lat temu młodzież ta wiodła w mury uczelni pamięć bohaterów wojny w Wielkiej Wojnie Narodowej. Wróciła ona wtedy do studiów, przynosząc ze sobą wielkie doświadczenia życiowe. Pierwsze wiersze i felietony, drukowane w przyfrontowych gazetach, stanowiły jej cenny wkład do życia literackiego, a zarazem dawaty moralne prawo do stania się „prawdziwym pisarzem”.

W obecnym roku z Instytutu wyszła nowa kadra młodych pisarzy: 19 poetów, 13 prozaików, 5 krytyków.

Jak zdobywali oni wiedzę literacką, tajniki sztuki pisarskiej?

W Instytucie odbywają się wykłady, ale jeden dzień w tygodniu (czwartek) wolny jest od zajęć. Przychodzą „starzy majstrówie”, zasłużeni i doświadczeni pisarze, którzy prowadzą ze słuchaczami seminaria twórcze. Prowadzone są one przez takich pisarzy, jak Fadijew, Erenburg, Ławreniuk, Marszał, Surkow, Issakowski, Simonow, Priszwin, Szaginan, Katajew, Dolmatowski i inni.

Pisarze dzielą się swoimi doświadczeniami i spostrzeżeniami z zakresu „techniki literatury”. W tej formie starsza kadra pisarska radziecka owocnie wychowuje nowe kadry. Seminaria twórcze, to wartościowa i najważniejsza forma współpracy dojrzałych pisarzy z młodzieżą literacką. Treścią rozmów stają się własne utwory starszych pisarzy i próby młodych. Analiza prac, rady i wskazówki, wreszcie żywa, niczym nie skrepowana szczera dyskusja pomagają studentom zdobyć właściwy sąd literacki. Dyskusja wyrabia w młodzieży zdrowe, krytyczne spojrzenie na własną twórczość, daje umiejętność posługiwania się środkami literackimi.

Przewijają się w tych dyskusjach takie zagadnienia, jak praca nad językiem, zbieranie materiału obserwacyjnego i jego segregacja, prowadzenie akcji głównej, oraz drugo- i trzecio-planowej, konstrukcja charakterów, typizacja postaci, charakterystyka postaci poprzez język, nowatorstwo i tradycja, osiągnięcia rosyjskiej prozy postępowej ub. stulecia, a doświadczenia współczesnej literatury radzieckiej, umiejętność „wchodzenia w życie” i t. d. Każdy z wykładowców — głoszących pisarzy radzieckich dzieli się swoim doświadczeniem, zapoznaje słuchaczy z własną drogą twórczą.

Warto zapoznać się, chociażby pobieżnie, z treścią rozmów przeprowadzonych przez znakomitych pisarzy radzieckich ze studentami Instytutu. Ciekawe, bogate w doświadczenia wskazówki przydadzą się również i naszym początkującym talentom.

Zdaniem A. Fadijewa, ten, kto chwyci za pióro, powinien dobrze znać życie, być człowiekiem społecznym we właściwym znaczeniu tego słowa, powinien jasno i wyraźnie widzieć cel, dla którego pisze i wreszcie powinien rozumieć, że twórczość artystyczna jest jednym z rodzajów pracy ludzkiej. Ale artysta — mówi Fadijew — powinien wywiązać się także z jednego jeszcze zadania: „powołany jest, by wiele przewidzieć — w zaleku nowego winien już dostrzec triumf tego nowego”. „Jedynie ucząc się stale od życia, studiując leninowsko-stalinowską teorię rozwoju społeczeństwa, jedynie w oparciu o dużą wiedzę faktyczną w najróżnorodniejszych dziedzinach, pisarz zdoła nie tylko dotrzymać kroku życiu, ale je również wyprzedzać i wiele przewidywać”.

Fadijew po nowemu stawia problem nowatorstwa. Burzliwość uważa za nowatorstwo nowe chwytliwy, nowe formy. Nie można pomijać znaczenia „formalnych odkryć”. Ale dziś nowatorstwo to coś więcej. „Nowatorem nazywamy człowieka, który przede wszystkim odkrył nowe w życiu, odkrył i w ujęciu artystycznym ukazał to nowe w jego rozwoju, w perspektywie”.

Autor „Młodej Gwardii” kładzie duży nacisk na konieczność wytrwałej pracy nad utworem. „Istotnie wartościowy utwor prozaiczny można stworzyć jedynie w wyniku bardzo dużej i wytrwałej, nie tylko umysłowej, ale również fizycznej pracy, włożonej w opowiadanie, nowelę, czy powieść”. Zmudna jest praca nad językiem. Pisarz ma do wyboru morze słów i pojęć: trzeba odrzucić mnóstwo wyrazów, aby wybrać słowo najbardziej skuteczne, właściwe. Fadijew powołuje się na przykład Łwa Tołstoja: badacz zalecał przesto — dziewięćdziesiąt wariantów jednego z artykułów autora „Wojny i pokoju”. Praca Tołstoja nad słowem była gigantyczna. Z notatek jego widać, jak olbrzymią robotę przedsięwziętą wykonywał, rozpoczynając każdą nową książkę. Studiował specjalnie język rosyjski, stare słowniki, gromadził słowa, zbierał fakty i obserwacje. Kreślił plany akcji, prowadził kartotekę zrodzonych w wyborach postaci. Podobnie tytanicznie pracował nad rękopisem Gorki. Autor „Moich uniwersytetów” zawsze zalecał początkującym literatom, by uczyli się języka i widzenia życia od ludu.

Olbrzymie znaczenie dla poziomu dzieła ma umiejętność segregacji zebranego materiału. Dojrzałe oko mistrza odróżnia od razu rzeczy najważniejsze, które należy ustawić centralnie, od bogactwa pobocznych szczegółów. Organizację materiału uważa Fadijew za rzecz najtrudniejszą. „Dzieło literackie to jakby mieszkanie — niezbędna to sprawa, gdy się je przeludnia”. Fadijew przestrzega młodych pisarzy przed stampą, przed specjalizacją w zakresie jednej tylko formy. Realizm socjalistyczny zakłada rozmaitość form.

Na wszechzwiązkowej konferencji młodych pisarzy, b. absolwentów Instytutu, wystąpił K. Fiedin. Jakie wskazania odnajdujemy w jego przemówieniu. Młodemu pisarzowi — zdaniem Fiedina — wiele pożytku przynosi praca w gazecie. „Dziennik jest szkołą obserwacji nad życiem”, uczy kontaktu z życiem i zwieźlel formy.

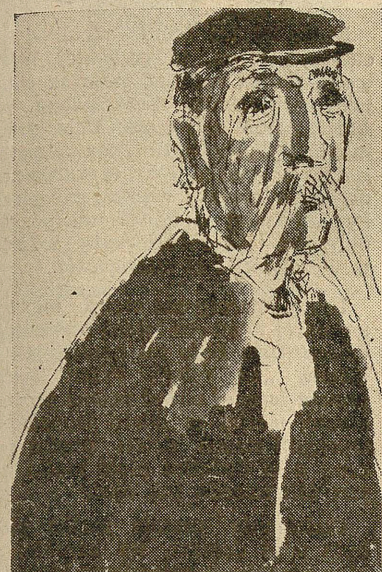
Fiedin radzi prozaikom zaczynać od formy krótkiej: „Wielkie płótno nie jest jeszcze wielkim obrazem”. Opanowawszy mniejszy zakres — przejść do większego zadania. Cwiczyć się w kunszcie pisarskim zawsze i w każdym wypadku. Nie wolno pisać dla miesięcznika lepiej, a dla gazety gorzej. „Nie ma żadnych pośrednich, „gatumków literackich”, ale istnieje upodlegający się stosunek do nich”.

Fiedin śladami Lenina („O czystości języka rosyjskiego”) i Gorkiego nawołuje do walki z zaśmiecaniem języka prowincjonalizmami i żargonem zawodowym. Wymaganie, które stawiamy słowu, muszą być bardzo wysokie. Pisarz powinien znać „życie słowa” własnego narodu. Jedynie w oparciu o bogactwo języka narodowego, czerpiąc ze źródeł twórczości ludu — można stworzyć czysty, piękny styl literacki. Fiedin przypomina zaś Aleksandra Tołstoja: „Język jest narzędziem myśli”. Otóż dla wyrażenia bogactwa myśli, bogactwa wiedzy o życiu koniecznością staje się bogata forma czyli kunszt. Ale „kunszt”, który nie służy wielkiej treści jest oszustwem. To nie właśnie nazywa formalizmem: powłoka nie zawierająca treści wewnętrznej, technika dla techniki”.

Grzegorz Timofiejew

ANTONI ZAPOTOCKY

DZIADEK GŁOSUJE*)



Rys. St. Gierowski

Do „Spółki” Oświatowo-Pożyczkowej dla okolicy Budczy zapisał się dziad wujek Kolmistr, Kolmistr mieszkał w nędznej chałupie i pobierał co miesiąc zapomogę. Kiedyś zachorował. To znaczy położył się i już nie mógł stanąć na własnych nogach, ani tym bardziej wyjść przed chałupę. Innego rodzaju choroby nie uznawało się na wsi. Jakis tam katar, kaszel, ból głowy, kłócie w krzyżu, ani nawet ciąża u kobiet — nie były na wsi uważane za choroby. Bardzo często kobieta na drugi dzień po porodzie musiała się brać do roboty. Chorym było się wtedy, kiedy już człowiek nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. W takich wypadkach Spółka wypłacała zapomogę w wysokości 20 gracjiarów dziennie i to przez 13 tygodni. Babca Kolmistrówna chodząca w każdą niedzielę do krawca Budczeskiego, a ten jako sekretarz Spółki wypisywał polecenia. Kwit opiewał na 1 złoty 40 gracjiarów. Przewodniczący Wosmik potwierdzał swoim podpisem i już potem kasjer Waldek wypłacał Kolmistrównie 1 zł 40 gracjiarów. Wyobraźcie sobie: gmina dawała 1 zł za miesiąc, a Spółka 1 zł 40 gracjiarów co tydzień. Kolmistrówna odmówiała, a dziadek Kolmistr, który przez całe lata modlił się i na nie tak niecierpliwie nie czekał, jak na to, żeby go Pan Bóg powołał do siebie i żeby się jego utrapienia na tym świecie skończyły — ten dziadek Kolmistr zaczął nagle żałować. Że już musi umierać. Zaczął się modlić, aby mu Pan Bóg przedłużył żywot, choćby na okres tych 13 tygodni, przepisanych w Spółce na otrzymywanie zasiłku. Pan Bóg tym razem wysłuchał Kolmistra i pozwolił mu żyć, dopóki nie wybrał całego zasiłku.

Kiedy już było zupełnie jasne, że Kolmistr zostanie się z tym światem, nie dawała dziadkowi spać zapomoga pogrzebowa. Według tego, co mówił krawiec na walnym zebraniu, zapomoga wyniesie całe 10 złotych. Jeśli tylko będzie stu członków. Każdy członek w wypadku śmierci drugiego zapłaci szóstaka. Jeżeli będzie dwustu, to wtedy zapomoga wyniesie 20 złotych. Spółka ma teraz stu trzydziestu członków, obliczał sobie dziadek Kolmistr. To znaczy, że jego baba zainkasuje całe 10 złotych za skórt starego, bo nadwyżka spodał stu członków idzie na fundusz. Tak to powiedział krawiec na zebraniu. Mogłoby się przydarzyć, że zmarłoby na raz dwu członków, a dwa szóstaki zainkasować jeden za drugim — toby nie była łatwa sprawa. Dopiero kiedy zapisał się dwustu, zapomoga wyniesie 20 złotych. Tak uchwalono.

Dziadek Kolmistr snuje wspomnienia na śmiertelnym barłogu, a wspomnienia grzeją. Dziadek ma już prawie 80 lat. Napracował się przez całe życie. U gospodarzy, w kamieniołomach, na drodze. Nie zdążyło się, żeby kiedy o czymś decydował, albo żeby głosił. Wszystko mu zawsze kazali: masz to, Kolmistrze, zrobić. O pięć przyszedł do roboty. O szóstej pojedziesz do domu. Tyle, a tyle dostaniesz za robotę. Tak masz pozdrawiać pana, tak masz dziękować panu, tak masz pana prosić, a tak się modlić do Pana Boga.

A teraz ni stąd, ni zowąd na tym walnym zebraniu, jak to powiedział ten sakramentni krawiec? — W Spółce jesteśmy wszyscy równi. Każdy jest swoim własnym panem. Czy ma majątek, czy go nie ma. Każdy ma równe prawa. Nikt nie musi słuchać drugiego. Każdy może według swojego rozumu podawać projekty, głosić i decydować. Tylko te postanowienia, uchwały i przepisy są ważne, które sobie sami członkowie przegłosują. Tego trzeba pilnować i dotrzymywać.

I głosił sobie. Każdy może podnieść swobodnie rękę, czy jest za, czy przeciw. To znaczy zgadza się albo się nie zgadza. Kolmistr nie odważył się podnieść ręki. Nie głosił. Ale sakramentni krawiec spostrzegł.

— Są tu członkowie, którzy nie korzystają ze swoich praw i nie głosują. Na przykład Kolmistr. Czemu nie głosuje dziadek?

Dziadek podniósł ze zdziwieniem głowę:

— To się mnie też niby dotyczy? Ja mogę także głosić i decydować?

— A dlaczego nie?

— No widzicie, ja, że tak mówię, jestem tylko dziadem na utrzymaniu gminy.

— A iluż to ludzi wyście utrzymywali, dziadku, swoją pracą? Małoście się to napocili i namęcili. Już by was dawno gmina powinna na waszą pracę mianować honorowym obywatelem.

Obywatelem? — Tak to powiedział ten krawiec przed wszystkimi ludźmi. I przed Waldekiem, przed wojtem. A on przecież zawsze, ile razy przyjdzie wypłacić zapomogę, wrzeszczy na dziadka Kolmistra: — Znowuście przyszli, darmożjadzie? Znowuście chcecie oberać grmine? Myślicie, że my, gospodarze, będziemy tylko na was pracować? Pięknie by to wyglądało, jakby tu każdy dziad chciał tak jak wy oberać grminę. Ta skała powinna was na dobre ukatrupić. Nie miałbym kłopotu, a gmina wydatków.

Rzeczywiście, myślał sobie nieraz dziadek Kolmistr: dlaczego skała w kamieniołomie tak spada, że się tylko zrobił niedolny do pracy? Dlaczego żes mnie, Panie Boże, nie dobił do końca? Ile by się to utrapień oszczędziło i ile wymyślania! A teraz ja, stary Kolmistr, bity i zahukany, ja mam prawo decydować i głosić!

I mimo śmiertelnych boleści zrobiło się dziadkowi lekko na sercu. Z przyjemnością wspomina, jak podnosił rękę, on, dziad wujek, i jak po raz pierwszy w swoim życiu miał prawo swobodnie głosić i decydować. To on zdecydował, że wszyscy mają wypłacać 20 gracjiarów co miesiąc do Spółki i 10 gracjiarów na zapomogę pogrzebową, w wypadku gdy zemrze jakiś członek.

To, co większość dobrowolnie i bez przymusu przegłosowała, muszą jednak wszyscy solidarnie przestrzegać, dotrzymywać i wykonywać. I o tym pamięta dziadek bardzo dobrze, ale przecież wtedy przy głosowaniu chwycił go strach. Dotrzymam zobowiązania, za którym głosił?

Jeśli idzie o płacenie składki — to nie ma obaw. Stoczył dziadek wielki bój ze swoją starą, kiedy oświadczył, że zapisał się do Spółki. Babka zęgnęła się, załamywała ręce, prosiła, a kiedy i to nie pomogło, zaczęła okrutnie wymyślać: „Kto by tam kiedy słyszał, moiście wy, dziad wujek, i do Spółki? W Spółce trzeba płacić, a ty z czego będziesz płacił, stary wycieruch? Nie dość tego, co przelagaczysz i przekurysz? Jeszcze mu się Spółki zachciało. Popamiętaj sobie, że ode mnie na Spółkę ani grosika nie wyyciganisz!”

„Przelagaczysz i przekurysz” — medytuje dziadek. Na tydzień paczuska tytoniu, tego najtańszego po 3 graciary — to jest 12 graciarów miesięcznie. Co tydzień jedna szklanka siliwicy za 2 graciary, to jest na miesiąc 8 graciarów. W ten sposób wydaje dziadek te 2 szóstaki, które mu babcia Kolmistrówna wydziela z każdomiesięcznej zapomogi grminnej.

Dobrze — wyrzeknie się. Rzuci palenie. Zresztą można kurzyć obierki z kartofli, albo wiśniowe liście. Mało się tego nakurzył jak mały chłopak? I siliwicy nie będzie się piło. Z tego wynika, że dwa szóstaki na składkę są pewne.

No, ale co będzie jakby kto umarł? Chryste Panie, skąd wziąć tego trzeciego szóstaka? To byłoby dopiero wstyd, jakby tak kto umarł, a dziadek Kolmistr nie zapłacił, nie dotrzymał tego, za czym sam głosił podniesieniem ręki.

Ala kto może przedrzeć zemrzeć ode mnie? — Tak sobie medytuje dziadek Kolmistr, przeglądając w myśli członków Spółki. Jest tam kto starszy ode mnie?

Może stary Czajka? Ma więcej, niż osiem krzyżyków... Tak, ale Czajka gospodarzy jeszcze i chodzą po ogrodzie. Całe lato przepasł w szalasi, żeby mu chłopaki jablek nie oberwali. I biega po wsi jak Burek. Nie, Czajki nie ma się co obawiać. Kostucha o nim, ani pomyśli. On mnie na pewno przeżyje — myśli dziadek Kolmistr.

A cóż stary Hroch? Ten to użył. Był w Meksyku z cesarzem Maksymilianem. Cesarz pan bidał został się tam za oceanem, ale Hroch wrócił do domu. Ani mu włos z głowy nie spadł. Po prawdziwie przywiózł tam ze sobą jakąś febrę, co znowu zdrowia nie daje. Zrobili Hrocha listonoszem, dostał medal i emeryturę. Domek sobie postawił na skraj wsi. Hroch na pewno będzie chciał jak najdłużej pobierać emeryturę. Zasiłki sobie na to. Po co by miał umierać? Nie, Hrocha także nie mamy się co obawiać — stwierdza dziadek Kolmistr.

Ala, ale — jest jeszcze stary Zeman z Kowar, sakra, z nim już nieprawdę niedobrze. Pracował w kopalni i przyniósł go węgiel. Od tego czasu bulgocze w Zemanie, jak pod przykrywką w garnku, kiedy się woda gotuje. Ile razy słychać z Kowar sygnaturkę — każdy się pyta, czy to już Zemanowi dzwonią. Wiadomo — co kopalnia, to kopalnia. No, daj mu Panie Boże lekkie odpoczywanie. Ale kto dostanie tego chałupę? Tymczasem stary Zeman chodzący jeszcze po świecie, kaszle i nie umiera. Po co on się w ogóle do tej Spółki zapisał? Zeman nie daje spokoju dziadkowi Kolmistrowi. To jest jednak bardzo ważny konkurent. A do tego, komu on te śmiertelne zapomogi zapisze? Baba śpi już dawno pod darnią,

dzieci dorosły, błakają się gdzieś tam po świecie.

Teraz to rzeczywiście zamyślił się dziadek Kolmistr na dobre, aż mu zmarszczki wyszły na czoło. Dzyń, dzyń — dzwoni coś niedaleko, gdy przymknąć oczy. Dzyń, dzyń — i znowu po chwili — dzyń. Dziesięć złotych. Całe bielutkie, srebrne dziesięć złotych. Orzeł po jednej stronie, a cesarz pan po drugiej. Jak to już długo nie widział się złote-go? — A tu naraz dziesięć takich brzęczących złociaków.

A kto je dostanie? Baba, sakra. A jak to gębę darła, kiedy się przystąpiło do Spółki. Nie dam, ani grosza — jęczała. I wspomnienie było — a teraz pobiera co tydzień 1 zł 40 gracjiarów. No, ale też prawda. Skapa to ona tam nie jest. Tytoniu dziadkowi kupi co tydzień — i już nie tego najtańszego, ale po cztery grosze. I ciwartkę żytniówki na miesiąc, żeby to sity jeszcze nabral. I mówi do niego „dziadziusi!” — Uszanowania niby nabrala.

Ale — dzyń, dzyń — dziadek — dziesięć złociaków, całe dziesięć złociaków. Co ta baba z tym zrobi? Policymy, no, dziesięć złotych to jest zapomoga na pół roku. Nie, gdzie tam, to prawie na cały rok.

Uśmiecha się dziadek Kolmistr do siebie i myśli, jak to dobrze, że się zapisał do tej Spółki. Czego to ten sakramentni krawiec nie wymyślał. A czego to o nim nie gadali, jak tu przyszedł na przymusowe osiedlenie. Czy to niby w ogóle prawda, że go tu policaje odstawił? Bo jest osiedlenie. A baby opowiadają, że to niby by arcyksiążę Rudolf chodził w przebraniu między ludźmi. Licho go wie. Panowie zawsze mają swoje fanaberie. A familia to się rzeczywiście cesarzowi panu, z przeproszeniem, jakoś nie wydarzyła. Zona mu podobno ciągle lata po świecie. Syna mu zabili. Nie, podobno nie zabili, tylko że rozłożył się i wyszedł jednego wieczoru z pałacu. Chodzi ponoć po kraju jak zwykły człowiek, bo go stary wygonił. No, ale ten stary cesarz to też jest dziwna sztuka. A na baby zawzięty, jak Malek, niby ten handlarz świński. To dopiero musi kosztować.

Ala znowu — na co by cesarz pan wybierał podatki? I co by to był wart taki naród, jakby cesarza pana nie stać było na parę panienek? Podobno sultan turecki ma ich całe haremy. Wozu to z sobą po całym państwie. A co tam taki pogański sultan wart w porównaniu z naszym cesarzem, panem z Bożej łaski?

Tylko dlaczego niby cesarz pan i jego ministrowie nie pomyśleli, żeby dawać po 10 złotych? Ano, zrobił to ten socjalista — ten krawiec — jeśli on w ogóle jest krawcem. Przecież mówi po niemiecku tak samo jak po czesku, a pisać, pisać lepiej, niż wszyscy adwokaci w mieście.

Tak. Teraz sobie już umrę — myśli dziadek Kolmistr. — To już wiadomo, jak amen w pacierzu. I już ani Czajka, ani Hroch, ani ten stary Zeman — nie dadzą mi rady. Z tego wynika, że już nie ma się co bać, żebym nie dotrzymał tego, co się samemu postanowiło i za czym się głosił. Szkoda, że ta Kostucha nie może poczekać. Chciałoby się tak jeszcze pogłosić. Aż dusza w człowieku rośnie, jak się podnosi rękę i jak wiadomo, że się z tym każdy liczy. Dziadek Kolmistr pomału podnosi rękę do góry i opuszcza ją z powrotem. Po chwili z satysfakcją powląda swoje ruchy i nie może się nadziwić.

Kiedy babcia Kolmistrówna weszła do izby — dziadkowi zaświtało nagle w głowie. Józku, chodź no tu bliżej, dzisiaj jest piątek? Nie? Tak, do niedzieli byłoby jeszcze dwa dni. — Niechaj babcia pobiegnie do krawca Budczeskiego i niech mu powie, że dziadek do niedzieli zemrze. — Co się tak mroczy? To już na pewno. Dlatego powiedz, że pięknie proszę. Słyszysz? pięknie proszę, żeby był tak dobry i niech napisze kwit na zapomogę pogrzebową, dziesięć reńskich, rozumiesz? — Babcia rozplakała się:

— Jezus, Maria, stary, co ty wyprawiasz?

Wnętrze izby ledwo rozświetlała wąska smuga z zaklejonego papierem okienka. Chałupa należała do gminy, która nie chciała dać pieniędzy na to, żeby ją oszklili.

Dziadek nie widział dobrze.

— To wy, panie majstrze? A to dopiero baba pomyślała wszystko. Przecież ja jej tylko kazałem, żeby prosiła...

ASKAD MUCHTAR

UZBEKISTAN

W ulicze ekolonej zielenią i mrokiem
Stoi domek niewielki, świeci szóstka okien.
Dzielo budowniczego, znak, że się rozrasta
I zarazem ozdoba stalowego miasta.
Do szkieł okna i framug niebieskich, a wąskich
Smukły cizmar wyciąga zielone gałązki.
Tutaj mieszka Szamurad. Zapewne go znacie.
Jest to bowiem najlepszy hutnik w Begowacie.
Już minął dzień roboczy i teraz wieczorem
Wianna łoża śpi wsparta o balkon poręcz.
Miało w całym swym pięknie u nóg mu się ściele:
Wesołe stopy ognisk, sądów bujna zielen.
Marzenia niezwalczone objęły go dzisiaj
On to cały agregat poprowadził dzisiaj.
I teraz patrzy w lunę rozbiłystą w oddali
Uzbekiej, młodej, przezeń wytopionej stali.

przeł. TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Foto - WAF

STANISŁAW SIEKIERSKI

Uwagi o krytyce

UWAŻNE przesłanie krytyki literackiej i recenzji w naszych czasopiśmie literackich u-pisach do wniosku, że w znacznej większości wypadków nie spełniają one należycie przypadającej im roli zarówno w oddziaływaniu na autora jak i na czytelnika.

Znakomita większość tak zwanych recenzji to mniej, lub więcej szczegółowe streszczenia wydanych książek, okraszane ogólnikami i recenzentem. Ogólniki mają tę właściwość, że dadzą się z powodzeniem odnieść niemal do każdego omawianego dzieła literackiego.

Dla przykładu recenzja H. Kirchnera — „Spotkania pisarza” („Wiś” nr 38 (32)). Po informacyjnym omówieniu treści, poszczególnych partii recenzowanego dzieła, autorka ucyga kilka wniosków, w rodzaju: „W tym opowiadaniu spotykają się ludzie o jasno określonej pozycji ideologicznej. Przywiodły ich do tego spotkania drogi, które prowadziły do Polski Ludowej...” „Natomiast wszystkie pozostałe utwory zbiorku cierpią na „ideologiczne niedookreślenie”.

„Ideologiczne niedookreślenie” — a co to jest takiego? Właśnie niedookreślenie określenie, a poza tym można by je umieścić rzeczywiście w każdej recenzji, pod warunkiem, że nie wyjasnimy o co chodzi. Tak też uczyniła H. Kirchner. Ani z tego ma korzyść autor, którego „objechała”, ani czytelnik.

Chodzi tu o poważny problem, o pomoc jaką autorowi powinien zapewnić krytyk w kształtowaniu i rozwijaniu konfliktów epoki. No, a, że takiej pomocy autorowi wspomniane omówienia dać nie mogą to chyba jasne. Trzeba szukać nowych, większych form krytyki literackiej, trzeba dyskusyjnie omawiać problemy literatury tak, jak to się dzieje w Związku Radzieckim. Krótko mówiąc, odczuwa się brak — publicystyki literackiej. Uciłyby burzliwe i płodne dyskusje na temat epiki („Wiś”), przebrzmiała kampania o Majakowskiego („Nowa Kultura”).

Ukazują się co prawda poważne prace w zakresie historii literatury, badania nad naszym dorobkiem literackim wydają obfite plony, ukazały się również pozycje książkowe omawiające zagadnienia twórczości współczesnej (Kierczyńska, Matusewicz), ale na tamach prasy literackiej. Poza niewielkimi wyjątkami — głucho. A to oznacza utratę dyrektywności w stosunku do piszących, oznacza szkolną bierność w polityce kulturalnej, a więc rezygnację z podstawowych założeń wychowawczych naszej literackiej prasy w stosunku do autorów.

Uprawianie dotychczas formy krytyki literackiej z okazji recenzji nie wydaje się wystarczające. Przyczajony krytyk czeka na ukazanie się książki, streszcza ją po uczniowsku, a następnie (w lepszym wypadku) przykłada do niej utarte schematy i stwierdza, czy pasują. A więc określa, czy widzi wyraźnie walkę klasową, rolę Partii, oraz „stare i nowe”.

Tego rodzaju krytyków — jakże świetnie oceniał jeszcze... Dobro! — „przystępuje do autorów z formalną miarką, jak do przyprowadzanych na punkt poborowy chłopów i krzyczy „zdany!” lub „nie zdany!” zależnie od tego, czy miarka pasuje do rekruta, czy też nie. Rozprawą jest tu krótka i zdecydowana”.

A oto nasze, rodzime miarki w krytyce literackiej: „Zapewne i w tym upraszczającym skrócie dostarczy czytelnik zafalszowanego naturalistycznego, które zawiera się w całym poemacie”. (Wł. Maciąg, „Życie Literackie” nr 10—1951 — „O twórczości Stanisława Piętaka”).

Naturalizm — zarzut bynajmniej nie biały. Ale dlaczego Pięta jest naturalistą? dokonuje zafalszowania krytyk nie pokazuje, natomiast omawia w czytelnika, że sam z pewnością zauważył. Jeżeli tak, to cała zasługa po jego stronie, a jeżeli jednak nie?

„Historia obu par — małżeństwa Kulbarów i narzeczeństwa Walaszków są może bardzo życiowe, ale też bardzo nieprzekonywujące, zbyt przesłodzone. Psychologicznie nie wytrzymywane”. (L. Flasz, „Życie Literackie” 1951, nr 16).

I bądź tu mądry — szanowny czytelniku! Czy dlatego nieprzekonywujące, że życiowe? Co to znaczy wytrzymać postacie psychologicznie? Jaki? Autor wie, że „psychologicznie wytrzymywane”, ale — czy życiowe tego nie wie. Powiada — może. Paradoks leży nie tylko w sprzecznych sformułowaniach, ale przede wszystkim

kim w oczywistym fakcie, że wiedza krytyka o życiu da się określić słowami: może wie, a może nie.

Bogdan Wojdowski zarzuca Koprowskiemu („Wiś”, nr 33/315) — „Zbeletryzowana biografia chłopaka”. „Przykro jest zwiadczać przyrządzoną przez autora gwara, na którą składają się zlepek regionalizmów, począwszy od mazurzenia, aż do wszelkich form gwary podkarpackiej”.

Gwara Koprowskiego jest rzeczywiście niekonsekwentnie stosowana, ale owa „podkarpacka” wymyślił już krytyk osobiście, a nie autor omawianej książki.

Dotykamy tu problemu ogólnie znanego, lecz pewnych rzeczy nie dość jest powtarzać. Te „zafalszowania naturalistyczne”, „niedotrzymanie psychologiczne” — jak zapewne czytelnik dostrzeże to — zastony dymne poza tymi — jakże często — kryje się niewiedza krytyka o życiu. Zdaje się, że czas już aby wielu krytyków zrezygnowało z roli poganiających pisarza — jak to się mówi — w teren, lecz mu towarzyszyło. Jak dotąd dowiedzieliśmy się o jednym tylko krytyku w terenie, który zresztą przyznał, że tak mu się tylko złożyło.

Ala samo towarzyszenie pisarzowi w obserwacji i prawidłowym opisie faktów i procesów społecznych oczywiście nie wyczerpuje zadań współczesnej krytyki. Jest to dopiero jedna — być może — nie najważniejsza strona medalu. Pozostaje druga o której, poza naszymi wyjątkami, nasza prasa literacka milczy.

Zdeorientowanemu czytelnikowi może się na posór zdawać, że nasze tygodniowe literackie istnieją głównie po to, by na ich tamach mogli wieść krytycy spory z pisarzami, a główne zadanie pisarzy — to dostarczanie tematów do tych sporów. Tymczasem czytelnik — sprawa tak wygląda, że zapomnieli o sobie.

Nie trzeba dziś nikogo przekonywać, że w Polsce Ludowej czyta literaturę większą część społeczeństwa, reprezentującą rozmaite tradycje czytelnicze. Recepcja literatury jest różna i wciąż jeszcze rozmaite o niej opinie i wyliczenia. Poza niemałymi i nie bardzo udanymi badaniami „Czytelnika” nie wiemy co dzieje się z książką, która doszła do rąk nie krytyka, lecz tego dla którego została napisana, rąk — robotniczo-chłopskiego odbiorcy i nowego inteligenta.

Zmienili się programy nauczania w szkołach średnich, młodzież wyrabia sobie nowy stosunek do literatury, czyta i komentuje pisarzy współczesnych. Niebadane są wyroki naszego młodego i masowego czytelnika o naszej literaturze. Wiele klubów robotniczych posiada własne kółka literackie, przy terenowych, wiejskich świetlicach i bibliotekach powstają kółka dyskusyjne...

Dotychczasowa rola krytyki kończyła się zazwyczaj na zrecenzowaniu wydanej książki. To nie wystarcza. Trzeba iść z książką do czytelnika, uchwycić proces recypowania wartości ideologicznej i artystycznej dzieła literackiego. Bez tego nie może być pełnej, rzetelnej postępującej pod adresem pisarzy krytyki.

Omawiając „Burzę” Ostrowskiego zarzuca Dobrobulu uwagę krytykom na fakt, że wbrew ich niejasnej, negatywnej opinii o Ostrowskim, czytelnicy i wyczerpują oceniły sztukę pozytywnie, zadecydowali o jej powodzeniu. Sprawa wydawałaby się bardzo prosta, gdyby nie poważne zastrzeżenia, które trzeba na tym miejscu umieścić. Chodzi mianowicie o zagadnienie tzw. „poczytności powieści”. Niemal każdy kto zna Łódź zna równocześnie — „Sygnal” w ciemnościach”. Zaraz po ukazaniu się kolejnego numeru „Ekspresu Ilustrowanego”, spotyka się setki ludzi w tramwajach, parkach, lub nawet na ulicach zaczynających w owej powieści. Takich „sygnalów” mamy w Łodzi więcej! Oto „Dziennik Łódzki” rywalizuje z „Ekspresem” przy pomocy konkurencyjnej powieści pt. „Cienie areny”, niejakiego Wideniuskiego, kto wie, czy nie literata, lecącego na łatwy zarobek. Nie chodzi mi o rolę i zadania naszego codziennego prasy. Ważne jest w naszym zagadnieniu to, że owe „powieści” podbijają serca ogromnej ilości ludzi. I to nie jest tylko sprawa dreszczykowych emocjonalnych drobniomieszczan i lumpenproletariatu. Np. „Ekspres” czytuje niejedyn robotnik. Zapobiec czy fałszywej opinii czytelniczej, powstać do życia nowa, oto jeszcze jedno zadanie stojące przed krytykiem. Jego bowiem zadaniem jest także obrońa bezpośrednia czytelnika przed szkodliwą społecznie szmيرًا.

Siekierski Stanisław

*) Z książki pt. „Przyjdą nowi bojownicy”.

ANDRZEJ SKUPIEŃ-FLOREK

Listy ze wsi

Z regionu podhalańskiego

„Dyćse na Podhalu dobrze ino zato, ze trzysta dni zimy, rešta samo la to!”

Na przekór tej starej góralskiej przysłowie, upłynął cały bieżący rok. Tegoroczne bowiem lato było nie tylko dłuższe, niż zazwyczaj, ale było też i cieple, a jednak nie za suche. Skutkiem sprzyjających warunków atmosferycznych i nawozów sztucznych — których w tym roku dla rolników Podhala dostarczone o 50 proc. więcej — nadzwyczaj pięknie i obficie wyrósł siana i koniczyzny, tak pierwszego jako też i drugiego pokosu — jedyny i bardzo wartościowy produkt dobrego żywienia bydła, który zarazem podnosi wydajność mleka.

Owiesek — jedyny zboże, udające się na skalistej glebie podtatrza, który dawniej dla tubylczej ludności był tym, czym na nizinach pszenica czy żyto — w tym roku i on również wynagrodził tutejszym rolnikom stratę, jaką ponieśli w ubiegłym roku przez posuchę i dwukrotnie gradobicie. Owies w tegorocznym planie dał swojemu gądzu dużo dorodnego ziarna i obfitość dobrej słomy.

Krowy i owce wypasają się na halach, czy to tutaj w Tatrach, czy na nizinach położonych pod Nowym Targiem halach Jaworki — również i one nie „zburczyły” żębam po gołych od spiekoty pastwiskach, ale karmiły się bujnym porostem soczystej trawy. Słowem, ciału przyroda — jeżeli chodzi o region Podhalański — uwarz z wyjątkową pomocą Rządu i wyjątkową pracą rolnika stanęły obok siebie, by wspólnym wysiłkiem, już w drugim roku 6-cio letniego planu pomnożyć plody ziemi.

Jedynym plodem naszej ziemi, jak i się tutaj nie udało, to ziemniaki, które w przeciwnieństwie do reszty kraju, gdzie nie udało się na skutek posuchy — u nas na Podhalu — nieurodzaj ziemniaków nastąpił wskutek długotrwałych deszczów i to w okresie wiosennym, co spowodowało wycieńczenie sadzonek wcześniejszej posadzonych, oraz opóźnienie dalszego sadzenia.

Mówiąc o dodatnim plonie siana i słomy z owsem, i to w obecnej chwili pełnych braków na rynku mięsnym, wiem, że wśród ludności miast i braci robotników, entuzjastom wielkiego nie wzbudza. Siano i słoma z owsem, zapewne dla nich nie ma żadnego znaczenia — jednak i tym urodzajem trzeba się cieszyć i entuzjastować. Pamiętamy bowiem, że w przeszłości nieurodzaj paszy dla bydła, który dotknął podgórska część kraju, nie miałyśmy siana i słomy z owsem, ani połowy tej ilości, jaka była potrzebna do przetrzymywania bydła. Stan bydła w tamtym roku był zadawalający i wyrównywał straty spowodowane przez okupanta. Ale że CRS, ani też PZGS górskich powiatów, nie zajęły się dowożeniem paszy z innych terenów, mimo usilnych prośb rolników, zmusiło to gospodarzy do masowej wyprzedaży i zabijania „nadmierzonych” sztuk bydła, co miało miejsce w miesiącach, od grudnia do lutego. Wtedy naprawdę mięsa było dość, kómisze skupu żywności nie nadążały nie chciały przyjmować doprowadzanego bydła na punkt skupu, a rozżaleni gospodarze wracali z bydłem do domów i za bezcen sprzedawali je prywatnym handlarzom na rzeź. Jeżeli chodzi o naszą spółdzielczość samopomocową, na którą w owym krytycznym czasie patrzyli i liczyli wszyscy rolnicy — to trzeba rzec, że spółdzielczość, a raczej kierujący nią zarządy i wykazali ogromne niedostęstwo i to tak w skupie żywności jako też i w dostarczaniu paszy, przez zorganizowanie dowozu. Są to dwa duże błędy, które obecnie maszają się i dają znać o sobie brakiem mięsa.

„Dziękuję inicjatywę niektórych jednostek spośród miejscowego chłopstwa, którzy w porozumieniu z PGR i gospodarzami znajdującymi się na Ziemiach Odzyskanych, zorganizowali wagonowy dowóz słomy i siana, uratowano około 30 proc. bydła, jakie miało niechybnie pójść na zabicie. Tutaj należałoby postawić konkretne pytanie: Dlaczego władze CRS, względnie powiatowe władze Spółdzielczość nie mogły dostarczyć rolnikom potrzebnej paszy dla bydła, a dlaczego mogli to zrobić prywatni ludzie? Nie było w tym wypadku żadnych niemożliwości, skoro inni mogli to zrobić. Dlaczego GS w Poroninie mogła sprowadzić 3-4 wagony słomy, a nie sprowadziła więcej? Dlaczego ta sama GS udarunkowała sprzedaż tej słomy, jedynie gospodarzom kontraktującym uprawę lnu na rok 1951? Co powie, że o członkach i pracy takich zarządów w powiecie, w gminie? Mówi się obecnie na naradach gromadzkich o tych ludziach i o tych błędach, i to przy udziale delegatów z powiatu i GS. Nie jeden z nich musi się kajać i do błędów przynajmniej pod naporem ostrej krytyki chłopów, co miało miejsce już po raz drugi w gromadzie Glizarów Górny.

Nasz Gminny Związek Samopomocowy, organ zawodowy, jako też i spółdzielczość, ma szczególnie gościć na

swoich zebraniach delegatów nie raz nawet z województwa, którzy nie rzadko w sprawach rolniczych i zaopatrzeniowych kraju są tylko laikami, a niejednokrotnie swoim wystąpieniem zrażają członków do organizacji, a nie raz i do Rządu. Cóż powiedzieć o takim obywatelu delegacie, członku wojew. Zarządu Zu. Sam. Chłopskiej, który na walnym zebraniu członków Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Poroninie, na prośbę członków o zwiększenie przydziału nawozów sztucznych dla tutejszego GS, odpowiedział:

— „Po co Wam potrzebne nawozy sztuczne, kiedy szkoda nawozów, skoro tu nie rodzi się żadne zboże chlebowe — Rząd nasz kieruje nawozy sztuczne tam, gdzie mało ziarna wyda 12 — 15 metrów zboża. Wy tu macie same trawy, bez nawozów wyżyjecie, bo Rząd i tak Wam mąkę przysyła i chleb macie!”

To prawda, chleb mamy, nawet biały, ale ten obywatel, delegat, najwidoczniej zapominał, że ludność kraju nie tylko chlebem żyje, że obok chleba są potrzebne: mięso, tłuszcz, mleko i masło. Zapomniał, że naszemu Rządowi Polski Ludowej tak samo i na tych produktach zależy jak i na zbożu i chlebie.

My rolnicy właśnie z tych regionów górskich i podgórskich, przez hodowlę bydła i uprawę traw jesteśmy producentami mięsa, mleka, masła i tłuszczu, ale żeby móc tę produkcję podnieść i zwiększyć dostawy ludności miast i robotnikom musimy coraz większe ilości siana, słomy i buraków produkować przez racjonalną uprawę, która wymaga stosowania nawozów sztucznych. Wie o tym nasz Rząd i nie wymaga od nas z Podhala dostaw i sprzedaży zboża państwu, ale domaga się od nas dostaw mięsa, węgla, mleka i jaj.

Toteż każdy poszczególny chłop-gospodarz — rozumiejąc swój obowiązek wobec własnego państwa — cieszy się tegorocznym obfitym zbiorem siana, koniczyzny i słomy z owsem, którymi to paszami w tym roku zapelnili wszystkie stodoły, poddają i kąt swojego zabudowania.

Skutkiem tego podnosi się pogłowie bydła i w miejsce wybyłej sztuki z żalem sprzedanej, czy zabitej zimą, dziś chowają się dwie młode jałówki, z których do lat dwu będą już krowy. Obecnie w naszej gminie przystąpiły gromady do współzawodnictwa w dostawie mleka i coraz to nowe powstają zlewnie.

Jedną z ostatnich to zlewnia mleka w Glizarach Górnych, która mimo, że najmłodsza, a jednak otrzymała pierwszą nagrodę za największą ilość odstawnego mleka. Nagrodą tą jest apteczka weterynaryjna — przyrządów ratowniczych bydła. Cenne i bardzo pożyteczne narzędzia w gromadzie.

Przyjeżdżni obserwatorzy tegorocznych obchodów dożynkowych, które na szczeblu gminnym obchodziliśmy w Poroninie, podziwiali nasz tłumny udział i rozradowane twarze, pytając nas o rację tych dożynek, skoro prócz wieńców z owsa nie widzą innych zbóż? Mądry odpowiedział nam chłop, prezydent Cuchro, który w swoim referacie dożynkowym między innymi powiedział:

„...Choć nasza skalna ziemia nie rozi petnokiosistej pszenicy, bo nie rozi żadnej, to jednak ciut podhalański na równi z ciutem z urodzajnych okolic w pszenicę i żyto, cieszy się z każdej osiągniętej nawiązką plonu swej pracy, cieszy się z każdego snopka owsa i każdej włóczki koniczyzny, której większą ilość nad zwykłą normę dzięki swej pracy, wyciągnął z ziemi. Cieszy się całym utrem mleka uzyskanego przez podniesienie mleczności swoich krow, cieszy się każdą przyhodowaną sztuką cielęcia, barana czy trzody chlewniej. Z tego tytułu na też pełne prawo do radości obchodów dożynek.”

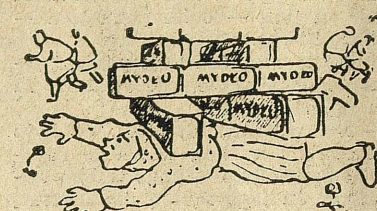
Specyficzny klimat Podhala powoduje, że my tutaj w stosunku do reszty kraju, skup zboża wykonujemy dopiero w chwili obecnej. Mamy bowiem, sprzedajemy państwu owies — a że tegoroczny urodzaj był obfity, niż ubiegłego lata, plan skupu ucie sprawnie — ludność podjeżdża na punkt skupu tłumnie i gromadami, w magazynie w Poroninie góra sprzedanego państwu owsa rośnie. Uosobieniem chętności gotowości sprzedaży zboża niech będzie średniorolny gądz Sobek, który przez tegoroczną sprzedaż dwu tuczników spótd. Sam. Chłopska uzyskał prawo zwolnienia od obowiązku sprzedaży zboża, óh jednak na zebraniu i na naradzie gminnej oświadczył, że przewidując dla jego gospodarstwa ilość owsa odstawi i takowy w dniu dla niego, przewidzianym tj. 24.X. do punktu skupu odstawił, przy czym powiedział, że on ten owies sprzeda tak jak i jego współbracia chłopcy z pszenicznych ziem sprzedają swoją pszenicę, której po zamianieniu na mąkę i jemu w konsumpcji przypadnie udział w sprzedaży państwu owies wie, że z państwowych dostaw na będzie sobie maki pszennej dość. Ten sam Sobek zaś, w dniu 27.X. za-kontraktował w tym roku już znaczącą sztukę trzody chlewniej, dla której z miejsca otrzymał 100 kg sru-tu zbożowej. — Sobek — jak powiedziałem — jest tylko uosobieniem, bo za nim idą średnio i matorolnie rodziny Skowyrów, Radkowskich, Skup-niów, Czudziechów i wielu, wielu innych gospodarzy wsi podhalańskiej. I to niechaj napawa otuchą braci rolników, ludzi miast i fabryk i pozwoli im wierzyć w nasz wytyżony marsz w socjalistyczną Polskę.

Andrzej Skupień-Florek

Gazetka gminna

Do 20 kg wzwyż

Chcę na łamach gazetki złożyć serdeczne podziękowanie przewodniczącemu naszej Gminnej Rady Narodowej w Beldowie — Stefanowi Andrzejczakowi. Bije spekulantów i panikarzy po łapach, ile wlezie. A że przy okazji dostało się i mojej babie Agnieszce, za to do Andrzejczaka czuję wdzięczność, bo kobieta się zaktywizowała, czyta teraz wszystkie wydawane zarządzenia i pilnuje naszej Gminnej Spółdzielni



przed spekulantami, jak oka w głowie.

A było to tak. Przylatuje wieczór do naszej chałupy Kluskowa i powiada, że „mydło wycofują ze sprzedaży od jutra”. Huknąłem na babę, ale zamknęły się z moją Agnieszką w komorze i szeptały przez godzinę. Na drugi dzień miałem odwiedzić ziemniaki na punkt skupu. Powiadam do Agnieszki, żeby jechała ze mną, ale baba postawiła się okoniem: „Ważniejsze mam sprawy do zała-

Dziwy planowania

Gmina Lubawa Wiś w powiecie Nowomiejskim — to sami hodowcy.

Wiadomo, przy hodowli bekonów niektóre sztuki, a mianowicie wysortowane maciory i knury, muszą iść na mięso — słoninowe, no i od czasu do czasu trafi się jakaś świnka pokraka na nie bekon. Jednym słowem mięso — słoninowe przy hodowli bekonów to zupełnie tak, jak braki przy produkcji dajmy na to materiałowy.

Przysły plany na 1952 rok. Zebrał się kierownicy grup hodowców, mężowie zaufania, samopomocy, spółdzielcy i radzą w Gminnej Radzie Narodowej.

Plany duże: 5000 bekonów i 900 mięso — słoninowych.

— Dacie radę? — przewodniczący.

— Ciężko będzie, ale z bekonami poradzimy. Ten co w 51-ym hodowa-

łach czterech, w 52-ym wyhoduje pięć. Dobra! — mówią chłopcy.

Ale z mięsno — słoninowymi to chyba omyłka.

Wesoły kulak

Strasznie się ucieszył nasz gromadzi kulak Bajon 12 hektarowy bogacz, kiedy nasza wieś Targowisko odstawiła wykonany z nadwyżką cały plan odstawy ziemniaków i odstawiła ponad 13 ton.

Kiedy o tym przekroczeniu planu zakomunikował nam na zebraniu sołtys Konieczny — Bajon aż w ręce klasnął, nawet okrzyki bojowe wzniósł.

Dziwili się ludzie skąd u Bajona taki zapal.

— To widzę dobry człowiek, nie potrzebnie na niego szczyczą — odezwiała się jedna z kobiet.

A ludzie kręcili głowami, że się tak Bajon odmielił.

— A coż to za kulak — mówili.

— Warto takiego za opłatą pokazywać.

Niestety okazało się, że nie warto. Stało się to jeszcze kiedy sołtys oświadczył, że Bajon z wymaganych odeń wg planu 7 kwintali — odstawił tylko 4,5 kwintala. Podła też

Dlaczego tylko 10%

Kiedy pisał, że gromada Michałowa, powiatu miechowskiego w krakowskim wykonała plan kontraktacyjny w 100 procentach, kuleje ze skupem zboża i zalega z podatkami, to jest szczerza prawda. A wyjaśnienie przedstawili GS, ZSCH i GRN to znówu blaga jakich mało.

Kasjerka GS oświadczyła nam, że gromada była też zaopatrzona w węgiel i dlatego hodowla się nie udała. Michałowa Bogata i Elżbieta Bubka — członkini GRN pochwała na na wysięgi, że agituja od rana do nocy, ale nic nie wychodzi, bo naród wokoło nie bardzo świadomy. Sołtys Andrzej Wójcik i Jan Kołacz — aktywista samopomocowy wskaza na brak paszy i zakochanie skromnie, że sami stanowią porywające przykłady ofiarności, która nie wiecie dlaczego nie działa na chłopów.

Nie dajcie się nabrać. Węgiel oczy-

Śpiąca królewna i sikawka

My w Orońsku nie chwalcą się umiemy się spieszyć. Bo wiadomo, że kto przedko daje, dwa razy daje — dlatego jeszcze ciemno, a przed magazyn skupu zboża w Roszkach zajeżdżają furmanki. Magazynier, daj mu Boże zdrowie, uwija się owsem niczego sobie, tak, że na ósmą, dziewiątą jest po wszystkim. Powiecie Bajka — Tak, ale prawdziwa bajka zaczyna się dopiero wtedy, gdy przyjdzie do zapłaty za dostarczone zboże. Okazuje się wtedy, że w Roszkach żyje (a raczej śpi) prawdziwa śpiąca królewna. Jest nią kasjerka magazynu Hele-rodaków, ludzi miast i fabryk i pozwoli im wierzyć w nasz wytyżony marsz w socjalistyczną Polskę.

twienia, niż ziemniaki! — wrzasnęła i pobiegła na wieś. Na noc do domu nie przyszła, a rano spotkałem ją zmarznąłą na kość pod naszym sklepem spółdzielczym. Cały babski Beldów się zleciał. Wrzask był przy tym wielki, bo te, które sterczały pod sklepem przez całą noc, jakieś teraz wypchnięte zostały na koniec kilometrowej kolejki (Agnieszka też), a na przodzie znalazły się bogaczki z Kluskową na czele. A wszystkie po mydło.

Pół dnia tak kupowały po 3 i 5 kg. Agnieszka też przyniosła 5 kg do domu i poleciała znowu. Ale już z mydłem nie wróciła. Poszedłem drugi raz pod spółdzielnię, patrzę, ogłoszenie wisi na drzwiach: „Mydło sprzedawane może być jedynie w ilości 1 kilograma lub w ilości nieograniczonej od 20 kilogramów wzwyż”. Podpisał: przewodniczący GRN — Andrzejczak. Idę do magazynu, patrzę, baby siedzą i przekonują się, że choć wykupiły ponad 100 kg mydła w magazynie jest go tyle, że starczy jeszcze na trzy miesiące.

Dopiero teraz zrozumiał, że to spekulanci z Kluskową na czele takie zamieszanie wywołali. Dostało się im od naszych kobiet solidnie. Najgorzej pilnuje spekulantów moja Agnieszka. — Niech jeszcze raz spróbują! — odgryza się.

Wojciech Stelmach

Przebieg hodowli

Przebieg hodowli nie przedstawia — 5, 6, no, z dużą biedą — 7% bekonów pójdzie na mięso — słoninowe. 350 sztuk, to wszystko co możemy.

A oni tak jakby chcieli nas zmusić do produkcji braków.

Podjęliśmy więc zobowiązanie na 52 rok: 5000 bekonów, 350 mięso — słoninowych.

Poszło pismo gdzie należy. I bardzo szybko przyszła odpowiedź. — Zgodnie z życzeniem odpowiedź lubawskich obniża się plan na 52-gi rok w dostawie mięso — słoninowym z 900 na 830 sztuk.

Gdzieś w gorze ustalono, że 17% hodowanych u nas świń za bekonów się nie nada. To się nazywa czyście planowanie! Nieskalane związkiem z rzeczywistością. Czyż dziwić się, że czolowy hodowca gromady Tuszowce, ob. Maciej W., gdy wiadomość dotarła do niego, machnął ręką i mruknął pod nosem:

— Ano, będzie ile będzie. Co z głupimi gadać!

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

W Brda

ANTONI KOWOL MARCINEK

Narodziny świadomości czy coś takiego

Kiedy 38 lat temu, zdala od oczyszczonych stron, w głębokiej West-walii, dokąd rodzina moja za chlebem wyjechała, przyszedłem na świat, umarł mój ojciec. Całe utrzymanie i wychowanie nas czworga spadło na matkę. Któż tam wówczas myślał o biednej wdowie po górniku? Później otrzymywałem, (po kilkuletnim staraniu) rentę wdowią w wysokości 5 zł miesięcznie.

Los pólseroty nie ciężał mi bynajmniej w owych latach pierwszego dzieciństwa. Było mi nawet, jak to mówią, „na reke”. Przed matką zawsze łatwiej ukryć pewne przewinienie; matka w wielu wypadkach występków swych dzieci osadza sercem; a w dodatku pięć latki nie jest tak twarda jak ojca.

Codziennie prawie matka moja była poza domem, na zarobku — albo odrobku u gospodarza który był tak dobry i pozwolił jej na matym kawałku swego gruntu zasadzić ziemniaki; ze dwa razy do roku jechał do lasu po drzewo — za to biedna kobieta musiała iść do niego do każdej roboty począwszy od nakładania obornika, na wiosnę, a skończywszy na młóceniu zimą porą.

Podczas nieobecności matki mogłymi zabawić się według swego upodobania i nieskrępowanej woli.

Niechaj więc nikogo to nie dziwi, jeżeli powiem, że na ogół uważano mnie za wielkiego „rabusia” i uroźono, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie.

Takiego może nie zupełnie serio, zdania była także moja matka, oraz starsze rodzeństwo. A to tym bardziej że w dodatku osadzone, że jestem bardzo uparty, skłonny do spierki, no i wielki kłamacz, bo mam rzadkie ubiezenie. Bolało mnie takie osadzenie. — „Rabus!” — niegrzeczny, szkodnik może... — Ale to drugie; nigdy! To oni właśnie kłamią i lubią się sprzeczać, nie ja — myślałem.

Niebawem jednak, odwróciła się karta mego życia i nastąpił inny rozdział. Najeto mnie do pensji krów. Początkowo w swojej wiosce i to dorywczo, po powrocie ze szkoły. Później, w ostatnim roku szkolnym, powędrowałem na „rychły” służbę. Opuszczając rodzinną chatę, przekonałem się, że to nie prawda co mi się zdawało, że matka mnie nie kocha. Kiedy mnie żegnała, też płynęły jej po twarzy, a słowa pełne troski wypływały na usta: — „tylko nie robicie mi żadnej krzywdy, gospodarzu!”

I w rzeczywistości chociaż być może krzywdy nie zamierzał mi nikł robić, to jednak rodziły się, że służba nie „drużba” — poczucie sprawiedliwości najmniejszych było bardzo względne. Spanie miałem na wąskim ganku w stajni, pod jednym przykryciem z parobkiem. Dzień pracy rozpoczynał się wczesnym rankiem, a kończył późnym wieczorem. Cały ten długi dzień trzeba było pracować i to nielekko, chociaż przecież zgodzony byłem tylko do paszenia bydła. Budziło się we mnie pragnienie zdobycia szerszych wiadomości, przez czytanie gazet i książek, poza szkołą, przy paszeniu bydła. Odtąd codziennie, wypędzając bydło na pole zabierałem ze sobą książkę.

Książka, czytanie stało się dla mnie czymś na zawsze niezapomnianym. W domu nie miałem nie prywatnego. Matka wymuszała mi, że marnuję „czas nad książką i przy „grzymleniu”, a nie pomagam jej. Ze i tak z tego nie będę miał, bo do tego są inni, lepsi — bogatsi.

„Chwytała mnie ogromna rozpacz, a zarazem tęsknota do czegoś, co było tak daleko od mnie...”

Postanowiłem wtedy, że będę się sam kształcił, by zostać prawdziwym — zawodowym, sławnym pisarzem. Planowałem więc, że będę w pewnej porze dnia uczył zasad pisowni, pogłębiał swoje wiadomości ogólne, a jeszcze później pisał — tworzył. Lecz, gdy przyszło do tego, że „będę się uczyć”, brata mnie ochota by czytać. Niedługo jednak to robienie, co ciągnęło mnie, znowu do pisania... A w rzeczywistości, ani jednego, ani drugie, ani trzecie mi nie szło... W dodatku matka... Ja nie, tylko siedziałem dumalem... — I wtedy, w takich chwilach, otwierały mi się oczy, poznawałem prawdę, życia; prawo bytu i rozwoju. Prawo, które mi odebrało dla swojej wygody, korzyści. W takich chwilach rodziła moja świadomość, poczucie przynależności klasowej, poczucie niesprawiedliwości ówczesnego ustroju, krzywdy wyrządzanej mej klasie od wieków... poczucie godności obywatela — człowieka. A równocześnie, jasna stawała się droga dalszego postępowania, walki ze „starym o nowe” — lepsze, szczęśliwsze życie, dla siebie i dla swych braci.

Antoni Kowol Marcinek

Drugi punkt skupu

Donoszę redakcji naszej kochanej Gazetki Gminnej, że we wsi Łuszczanowice, powiatu piotrkowskiego zastałem osobliwą sytuację. Pracuję tam mianowicie o jeden punkt skupu za dużo. Te łuszczanowickie dwa punkty skupu służą różnym celom politycznym, ale skupują niemal to samo: świnki, cielątka, ostatnio — ziemniaki.

Na jednym — państwowym wypełniają chłopcy swoje zobowiązania wobec państwa ludowego. Matorolny Ziemia w mojej obecności przywiozł 6 q ziemniaków ponad plan i oświadczył skromnie: „to dla robotników, ino żeby koniecznie doszły, ale nie mówia, że ode mnie”. Wywiał do gazetki wstydził się dać. Graczy i Ciesielki matorolniami, także własnowolnie synpeli pięknymi bulwami ponad plan. I tak prawie wszyscy chłopcy z gromady. Piszę: „prawie”, ponieważ kochana Redakcja, zdarzając się tacy, co odstawią na „drugi punkt skupu”. Tam rządzą niejaki Władysław Zyber, znany od lat skupczacz kurek, gasek, świnek, cielątek, teraz zaś i ziemniaków. Teg plotkacz, oczywisty wróg klasowy, mistrz od wywoływania panikarskich nastrojów. Ostatnio porządnie podreperował swój interes. W ciągu kilku dni wepchnął wystraszonemu gospodyniom kilka worków: „soli i teraz każda we wsi zupa przesolona, sprzedał za trzy metry mydła, masę pasty do butów. Mnie namawiał na zeszyty, których podobno-pozą jego interesem już nie ma. A tak gadał, że mi się musiał złapać mocno za legitymację korespondenta, co — jak widać — pomaga na zanik czujności klasowej. Ostatnio upił i próbował zbamałmucić matorolnego Słuzę, ale chłop się pomiar-kował i ziemniaki przywiozł na właściwy punkt skupu. W ten sposób gromada wyszła już na 90%.



Ale co zrozumiał biedniak, patriotyczny chłop — tego GRN w żaden sposób pojąć nie może. Bo gdyby pojechał, nie latałyby urzędniczki chyłkiem po sznurowadła do sklepiarkar. Co ważniejsze zlikwidowano by wreszcie ów drugi „punkt skupu”.

A warty, proszę Gminnej Rady Narodowej, bo to plan na 100% wywodzi i zniknie jedna z podór spekulacji, burzyciel socjalistycznego rynku handlowego.

Piotr Pigwa

Dwa zapisy

W naszej gminie Brójce wiszą na tablicy dwa zapisy wskazujące, kto i jak odstawią zboże na punkt skupu. Na pierwszym figuruje Popek Jan — gospodarz jedno-hektarowy, Pyszniak Jan — gospodarz na 3 ha, Józef Pawlik — siedzący na półtora hektara piachu, Antoni Rudzki sołtys ze swoimi pięcioma hektarami, Swiderk właściciel 2 ha i t. d. Ci odstawią zboże państwu w terminie, a niektórzy — jak Rudzki — z nadwyżką.

Na drugim znajdziemy Zakrzewskiego z Woli Rakowej gospodarza 15 hektarowego, Zawadę Jana ze swymi 11 ha, Piast Stanisława 12 hektarowca, Klepacza Franciszka posiadającego 11 ha dobrej ziemi itd. Ci nie odstawią ani ziarnka. Ponoć nie mają nic. Teraz jest według ich zdania tak, że na jednym hektarze lepiej się rodzi żyto, niż na 14-tu, choćby nie wiem jaka była gleba. Słowem na odwrót.

Nie mogąc więc państwu sprzedać swoich nadwyżek zbożowych, bo mają w porównaniu z biedniakami znacznie mniej. Ale niech no przyjdzie jakiś towar do spółdzielni w Brójcach. Znowu wszystko odwraca się na opak. I taki biedniutki 14-to hektarowy Zakrzewski gna jak opętany do sklepu. A za nim cała czereda Klepaczów, Piastów, Kawulów. Są piecyki w spółdzielni, dobra! Kupią w ciągu dnia 20 sztuk. Są pralki, wykupiły 70. Jest mydło, biorą. Płatki owsiane też. Przyszedł się. Bo teraz jest według ich mniemania tak, że ten bogatszy, któremu się „mniej” rodzi na polu, musi więcej towarów wykupić, bo na większym gospodarstwie gospodarzy.